NR 23 (1947) 9 CZERWCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Rys. Marek Sobczyk

PRAWDZIWE KŁOPOTY
ze sztuczną inteligencją

ISSN 0208-8045
23 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- ODCIĘCI OD ŚWIATA
- WIĘZIENNICY WRACAJĄ DO WARSZAWY

eprasa.pl 76d3415895

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny **Tomasza Sakiewicza** dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej. Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy, które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

epraasa.pl 76d3415895

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Szczerze mówiąc, nie uważam sztucznej inteligencji za szczególnie duże zagrożenie dla długofalowego dobrostanu ludzkości. I to z kilku powodów.

Po pierwsze, jest to zaledwie jedna z fal procesu automatyzacji i robotyzacji. Taki ChatGPT czy inny Grok to przecież nic innego jak kolejna pracooszczędna technologia wprowadzona do procesu produkcji gospodarczej. To innowacja tej samej natury co – powiedzmy – robot przemysłowy, smartfon albo platforma internetowa do zamawiania przewozów pasażerskich. W każdej z nich chodziło o to, by zautomatyzować jakąś część procesu ekonomicznego. I w każdym przypadku wiązało się to z automatyzacją czynności.

Skąd więc owo dojmujące larum, że sztuczna inteligencja to technologia wymagająca wyjątkowej uwagi, a może nawet wróżąca rychły koniec świata? Odpowiedź jest jak najbardziej klasowa. Po prostu AI jest panoszeniem się procesów automatyzacji na poletku tych warstw nowoczesnych społeczeństw, które sterują tzw. opinią publiczną. I one struchlały, widząc, że AI może bez trudu robić to, co oni robili do tej pory za niemałe często pieniądze. Ale to przecież nic nowego. Różnica tylko taka, że gdy robotyzacja pożerała miejsca pracy robotników i rolników, to klasa średnia i elity kultury, sztuki czy mediów siedziały cicho, bo to przecież nie po nich przyszła kostucha postępu. Czasem nawet mówiły, żeby się ci robotnicy nie mazali, tylko wzięli do przekwalifikowania. No a teraz padło na nich.

Po drugie, to nie jest tak, że tzw. postęp technologiczny w sensie dosłownym i absolutnym zastępuje pracę człowieka pracą maszyny. Jak się temu przyjrzeć dokładnie, to zawsze widzimy coś bardziej skomplikowanego – konkretnie zastąpienie pracy człowieka wykonywanej przy użyciu bardziej prymitywnej maszyny przez pracę człowieka wykonywaną przy użyciu... jeszcze nowocześniejszej maszyny. W tym sensie AI to także maszyna, która jest na koniec obsługiwana przez człowieka. To także człowiek te technologie produkuje, sprzedaje, reklamuje i pozycjonuje na rynku. Dopóki człowiek jest na końcu tego łańcucha, dopóty technologia nie musi nas martwić.

Dopóki człowiek jest na końcu łańcucha, dopóty technologia nie musi nas martwić.

Po trzecie, warto pamiętać, że technologia sztucznej inteligencji, którą dziś świat dysponuje, to wcale nie jest taki znowu ósmy cud świata. Jest ona zaledwie zręcznym kompilatorem tego, co znajduje się w dostępnych bazach danych. Na koniec dnia AI to jednak nic innego jak bardzo, bardzo szybka maszyna do porównywania ze sobą zyliardów obrazków w poszukiwaniu wzorków. Prochu to ona nie wymyśli. Najwyżej poda nam to, co już kiedyś zostało podane. Tylko w bardzo atrakcyjnej formie. Człowieka jednak nie zastąpi.

Na dodatek ów hype na AI za jakiś czas zacznie przygasać. W branży będzie mniej pieniędzy. Twórcy technologii zaczną kombinować, jak zmonetynować swoje wynalazki. Pojawi się powszechnie płatny dostęp, co zmniejszy zasięgi. Bazy danych, na których trenuje się dziś AI, też będą droższe i trudniej dostępne. Barierą stanie się również energochłonność tych wielkich modeli językowych. W naturalny sposób także i ta innowacja zacznie blednąć. My zaś przerzucimy nasze nadzieje i troski na coś nowego. Bo tak się dzieje zawsze.

Nie piszę tego jako szalony zwolennik sztucznej inteligencji. Uważam po prostu, że wokół nas jest dalece więcej zagrożeń dla dobrostanu ludzkości niż sztuczna inteligencja. Ot, choćby trwające wciąż szaleństwo klimatyczne, za pomocą którego sami wygaszamy własny potencjał rozwojowy. Albo kryzys demograficzny wynikający z generalnego poczucia zagubienia i rozdrgania, które rozpleniło się w postchrześcijańskich społeczeństwach Zachodu.

To takich rzeczy powinniśmy się bać. A nie papierowego tygrysa sztucznej inteligencji.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 76d3415895

09.06.2026
WYDANIE Nr
23

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Prawdziwe kłopoty z AI

6	**Tylko narzędzie. Papież pisze o sztucznej inteligencji**
10	**Sprawczość pozostaje po stronie ludzi. Rozmowa z A. Nowakiem**
14	**Sztuczna inteligencja dla pracowników, nie zamiast nich**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Ostrożnie z liberalizmem 16

KRAJ

Nawet zemsta nie wyszła 20

Odcięci od świata – o wykluczeniu komunikacyjnym w Polsce 24

ZAGRANICA

Słoweński powiew nostalgii 28

KULTURA

Moim pierwszym studiem nagraniowym była... pralka. Rozmowa z Marcellą 32

„Gierek” po latach 36

Swój własny krzyż 40

Bóg w komiksie 44

Kobieta rycerz 46

HISTORIA

Order, który nie zawsze trafiał we właściwe ręce 50

SPOŁECZEŃSTWO

Zachód powoli odchodzi od postulatów ruchu trans 54

Ludzie skądś 58

ZWIĄZEK

Co w związku 64

Więziennicy wracają do Warszawy 66

Fundament bezpieczeństwa gospodarczego 70

FELIETONY:

OKRASKA 5

GAC 19

SKWIECIŃSKI 63

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 23

CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 48

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 62

GŁOS REGIONU 69

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 76d3415895

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Teraz będą znikać teksty

Doskonale znamy hipokryzję polskich „demokratów". Ale ich czescy odpowiednicy zrobili prawdziwe turbodoładowanie.

Wiele razy widzieliśmy podwójne standardy tych środowisk.

Wolność słowa – tak, oczywiście. Chyba że treści nie podobają się „demokracie". Wtedy paragrafy, pomysły cenzurowania internetu i „walka z dezinformacją".

Albo demokracja. Święta i świetna sprawa. Chyba że w wyborach zyskują „populiści". Wtedy ludzie zagłosowali „nieodpowiedzialnie". Zostali „omamieni" lub „przekupieni".

Albo frekwencja. Gdy może wygrać PiS, to „zabierz babci dowód". Gdy liberalna elita chce pokonać PiS, to organizuje „kampanie profrekwencyjne". Gdy wkurzeni ludzie chcą – jak w Krakowie – odwołać PO-wskiego prezydenta miasta, to wtedy jest kampania antyfrekwencyjna.

I tak dalej. Tylko ludzie o intelekcie rozwielitki mogą się na to nabrać lub rzetelnie, a nie cynicznie, bronić takich praktyk. Przytomny człowiek głośno śmieje się z tej ściemy.

U większego z naszych południowych sąsiadów „demokraci" poszli dalej. I to już nie jest śmieszne. Jest groźne.

Niedawne wybory w Czechach wygrali „populiści". Od razu do boju ruszyło „społeczeństwo obywatelskie". Zanim rząd zaczął na dobre rządzić, internet i ulice zalała histeria i protesty z dowolnego powodu. Co tam decyzja wyborców, skoro „aktywiści" są przeciw.

Na największym czeskim portalu – Seznam.cz – zdarzył się jednak wypadek przy pracy. Portal jest liberalny, bije w „populistów" jak w bęben. Ale w lutym opublikował tekst o prawdziwym obliczu czołowej organizacji „obywatelskiej" – Milion Chvilek.

Jego autorką była Martina Forn, dziennikarka z mainstreamu, żadna „populistka" czy osoba „skrajna". Opisała, że za rzekomym obywatelskim i oddolnym charakterem organizacji kryją się działania hojnie wspierane przez milionerów. Że na pokaz są datki od obywateli, ale na inne konta wpływa forsa od bogaczy. Że idzie ona na specjalistów od propagandy. Że całość jest machiną wspierania liberałów.

Znamy to także z Polski. Obrodziło tym za rządów PiS: „media obywatelskie", „aktywizmy", „kampanie" itp. Zawsze z grubą forsą.

Martina Forn swój odważny tekst podsumowała tak: „Metody stosowane przez Milion Chvilek są głęboko antydemokratyczne. Demokracja przedstawicielska opiera się na wyborach i procedurach konstytucyjnych, a nie na dyktacie ulicy kontrolowanej przez agencję PR. Próba ustalenia obsady ministerstw poprzez naciski uliczne jest formą miękkiego zamachu stanu".

Sama prawda. Tylko że ta prawda... już nie istnieje. Tekst pani Forn po prostu zniknął. Bez wyjaśnień. Nie ma właściwie żadnego śladu po artykule opublikowanym na największym krajowym portalu.

Pozostał tylko jeden malutki trop. Tekst skopiował na swoim facebookowym profilu skrajnie prawicowy polityk Tomio Okamura. Jestem antyfanem jego poglądów, ale to nie on usuwa niewygodne teksty.

Robią to ci, którzy straszyli, że „populiści" zagrażają wolnościom i swobodom obywatelskim. Robią to metodami opisanymi w dystopii wymyślonej przez George'a Orwella.

Książka „Rok 1984" była ostrzeżeniem. Liberałowie potraktowali ją jak podręcznik.

eprasa.pl 76d3415895

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

TYLKO NARZĘDZIE.

Papież pisze o sztucznej inteligencji

Encyklika „Magnifica humanitas” [Wspaniałe człowieczeństwo] papieża Leona XIV kontynuuje tradycję w nauczaniu społecznym Kościoła polegającą na **bezpośrednim komentowaniu** tematów, które opinii publicznej wydają się w danym czasie szczególnie istotne. To dobry zabieg pozwalający docierać słowom biskupa Rzymu do szerszego grona ludzi z przekazem nieraz bardzo już utrwalonym w katolickiej doktrynie.

Tomasz Rowiński

Czy to znaczy, że papież powtarza jedynie rzeczy już wcześniej wypowiedziane? Oczywiście, że nie, ale jest też prawdą, że korpus nowoczesnego katolickiego nauczania społecznego to już dość rozrośnięty pęd wyrastający ze starszych intelektualnych pokładów katolickiego chrześcijaństwa. A zatem jest z czego czerpać, a jednocześnie co aktualizować. Taki właśnie charakter ma nowy dokument papieża Leona XIV.

Wielowątkowy rozwój

Przykładowo, choć encyklika papieża Franciszka „Laudato si’” [Pochwalony bądź] była promowana i komentowana jako przełomowy dokument ekologiczny, problem nieumiarkowanej eksploatacji dóbr naturalnych pojawiał się już w tekstach sygnowanych

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 76d3415895

przez Benedykta XVI, Jana Pawła II, Pawła VI, a nawet Jana XXIII. Ten ostatni papież zwracał uwagę, że kryzys duchowy człowieka niesie ze sobą poważne konsekwencje społeczne i środowiskowe. Podkreślał potrzebę odpowiedzialnego korzystania z dóbr natury, które powinny służyć całej wspólnocie ludzkiej.

W podobnym duchu wypowiadał się Paweł VI, wskazując na ścisły związek między degradacją środowiska a problemem ubóstwa oraz krytykując podporządkowywanie przyrody wyłącznie ludzkim interesom. W tej ostatniej uwadze papież Giovanni Battista Montini poszedł o krok dalej od swojego poprzenika, nadając pozaludzkiemu stworzeniu Bożemu własną, odrębną wartość. Jednak w nauczaniu Pawła VI kwestie umownie zwane ekologicznymi wciąż pojawiały się przede wszystkim w kontekście refleksji nad rozwojem społecznym i gospodarczym. Nie stanowiły jeszcze odrębnego tematu, lecz były traktowane jako sygnał ostrzegawczy, ujawniający negatywne skutki pozbawionej granic konsumpcji i rosnącej chciwości współczesnej technicznej cywilizacji.

Jan Paweł II w encyklice „Sollicitudo rei socialis" [Troska społeczna] z 1987 roku przedstawiał konsumpcjonizm i rabunkową eksploatację przyrody jako dwie twarze jednego moralnego błędu. „Nie można bezkarnie używać różnego rodzaju bytów, żyjących czy nieożywionych – składników naturalnych, roślin, zwierząt – w sposób dowolny, jedynie według własnych potrzeb gospodarczych. Przeciwnie, należy brać pod uwagę naturę każdego bytu oraz ich wzajemne powiązanie w uporządkowany system, którym właśnie jest kosmos" – pisał papież z Polski.

W „Caritas in veritate" [Miłość w prawdzie] Benedykta XVI z 2009 roku refleksja nad relacjami człowieka i resztą stworzenia Bożego osiągnęła jeszcze bardziej dojrzałą postać. Można nawet mówić – choć elementy tego zjawiska są obecne także w dawniejszych encyklikach – o wykształceniu się pewnego rodzaju całościowej katolickiej krytycznej hermeneutyki. Problemy relacji człowieka i modernizacji, czyli technicyzacji nie tylko procesu wytwarzania, ale i reguł społecznych, kwestie napięć pomiędzy człowiekiem i światem przyrodzonym, wreszcie zrozumienie ludzkiej kondycji w epoce nowoczesnej, połączyły się w pewną spójną matrycę, która jednocześnie nie stała się kolejną polityczną ideologią. Ten dystans wobec praktyki politycznej jest, ze zrozumiałych względów, jednocześnie siłą i słabością katolickiego nauczania społecznego.

„Środowisko naturalne to nie tylko materia, którą można dysponować według własnych zachcianek, ale wspaniałe dzieło Stwórcy, zawierające w sobie «gramatykę», wskazującą na cele i zasady mądrego, nie instrumentalnego czy samowolnego korzystania z niej. Dziś rozwojowi często szkodzą właśnie tego rodzaju wypaczone przekonania. Całkowite sprowadzanie natury do zbioru zwykłych faktów staje się ostatecznie źródłem przemocy wobec środowiska, a wręcz prowadzi do uzasadniania działań, które nie szanują nawet natury człowieka" – konkludował papież Joseph Ratzinger.

Technika nie wyszła z kapelusza

Dla nas istotne jest to, że podobny proces rozwoju i kumulacji refleksji, co w przypadku krytyki rabunkowej eksploatacji przyrody, nastąpił

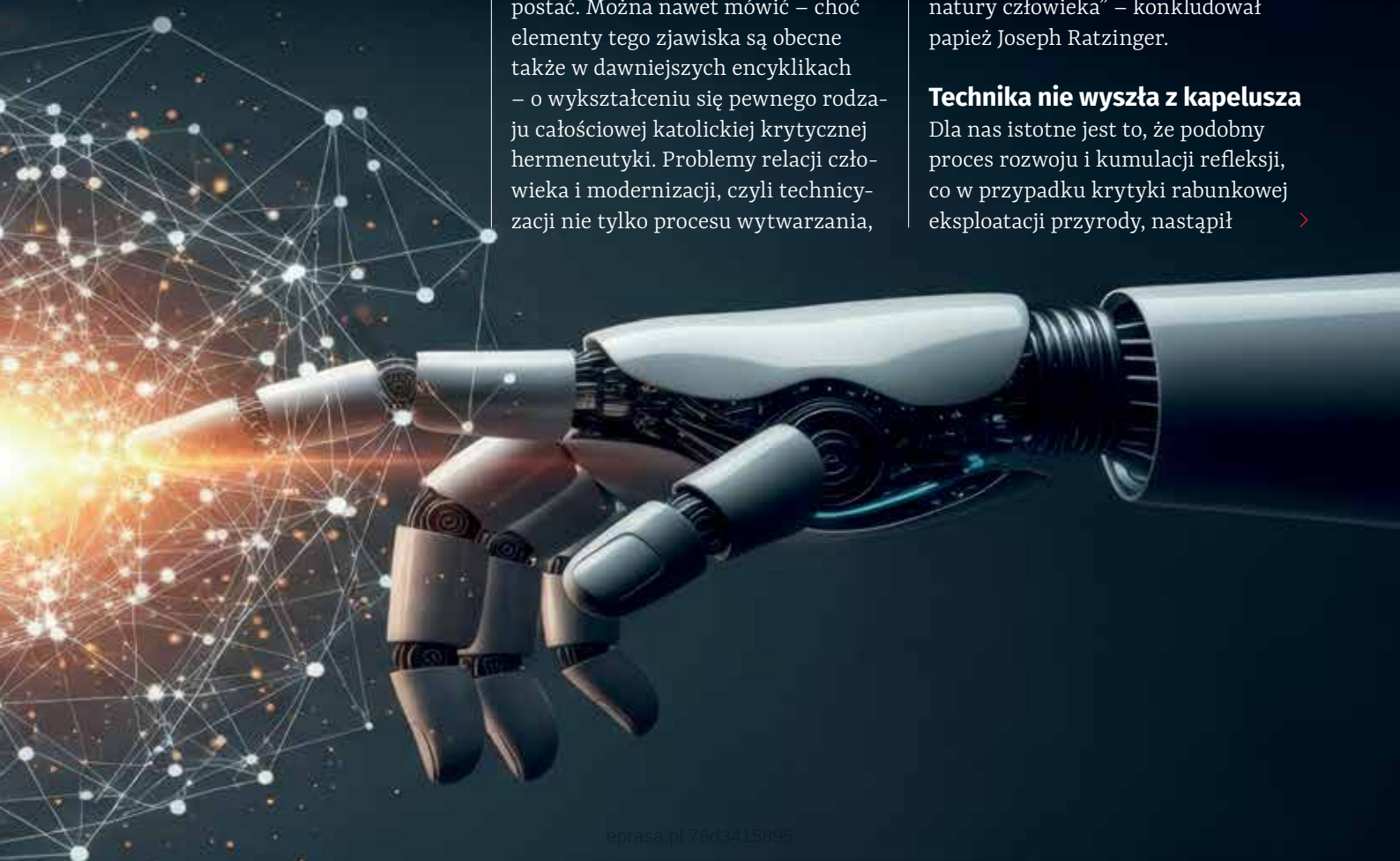

eprasa.pl 76d3415895

w odniesieniu do problemu wzrostu znaczenia techniki w ludzkim życiu, ale też zagadnień świata pracy. Choć to Leon XIII skupił się w „Rerum novarum" [Rzeczy nowych] – z dużym opóźnieniem w stosunku do Marksa – na sytuacji robotników w epoce uprzemysłowienia, nie znaczy to, że później papieże ten temat porzucili. Nic z tych rzeczy, sytuacja świata pracy jest omawiana w encyklikach niezależnie od tego, czy za wiodący temat wybierają oni globalny kryzys ekonomiczny (Benedykt XVI, 2009), czy dyskusję nad kondycją planety, na której przyszło nam żyć (Franciszek, 2015).

Dla części opinii publicznej mogło być zaskakujące, że papież po ledwie kilku latach od upowszechnienia się dostępu do algorytmów generatywnych już publikuje na ten temat encyklikę. W rzeczywistości kwestie technologiczne są obecne w nowoczesnej nauce społecznej Kościoła od samego początku. Można nawet powiedzieć, że dyskusja z nimi odzwierciedla jedno z ważniejszych napięć pomiędzy tradycją katolickiego chrześcijaństwa, wciąż będącego, przynajmniej do pewnego stopnia, reprezentacją bardziej klasycznych form kultury europejskiej, a nowoczesnością.

„Najbardziej niezwykłe postępy naukowe, najbardziej niesamowite osiągnięcia techniczne, najcudowniejszy rozwój gospodarczy, jeśli nie łączą się z autentycznym postępem społecznym i moralnym, w ostatecznym rachunku zwracają się przeciw człowiekowi" – czytamy słowa Pawła VI umieszone przez Leona w rozdziale „Magnifica humanitas" poświęconym sztucznej inteligencji. To właśnie rozwój technologii – na co papież zwraca uwagę – jest przykładem „niebezpieczeństwa, że ludzkość stanie się ofiarą własnych zdobyczy".

Przeciw dehumanizacji

Technologia, choć nigdy nie została wprost potępiona przez papieży, w nauczaniu społecznym Kościoła jest oceniana chłodno. Często jako wyraz niebezpiecznej nowoczesnej tendencji przyjmującej, że siła, władza i zdolność człowieka do kontrolowania rzeczywistości poprzez coraz skuteczniejsze narzędzia może zastąpić bardziej filozoficzne sposoby kształtowania dobrych społeczeństw – uznanie prawa Bożego, godności osoby, powszechnego przeznaczenia dóbr itd.

„W Encyklice «Laudato si'» Papież Franciszek piętnował rosnącą dominację paradygmatu technokratycznego w zglobalizowanym świecie: tendencję do tego, by logika efektywności, kontroli i zysku sama rządziła wyborami osobistymi, społecznymi i gospodarczymi. Tym samym jeszcze wyraźniej widać, że technika nie jest zwykłym narzędziem i że – gdy staje się kryterium – ostatecznie sama decyduje o tym, co ma znaczenie, a co może zostać odrzucone, sprowadzając stworzenie do przedmiotu eksploatacji, a osoby do trybików systemu, który ma być coraz bardziej wydajny" – pisze Leon XIV.

Choć w „Magnifica humanitas" możemy sporo przeczytać o różnych moralnych i antropologicznych aspektach wejścia algorytmów generatywnych do głównego nurtu ludzkiej kultury, to powyżej zarysowany wątek wydaje się w tej encyklice najważniejszy. Papież ostrzega – chęć panowania nad światem, niemal w roli doczesnego boga, która owładnęła wolą człowieka w epoce nowoczesnej, z pomocą sztucznej inteligencji jeszcze bardziej pogłębi jego samouprzedmiotowienie. Mamy bowiem obecnie – razem z ekspansją AI – do czynienia nie tylko ze znanym już problemem oceny aktywności ludzi głównie przez pryzmat ekonomicznej wydajności. Dziś pojawia się kwestia zacierania granic pomiędzy wytwórcą ludzkim i zautomatyzowanym, którego skuteczność zaczyna być traktowana jako kryterium także dla oceny jakości pracy człowieka.

Ponieważ jako ludzie nie jesteśmy zdolni, by w perspektywie skali makro sprostać standardom zautomatyzowanej wytwórczości, możemy stać się z czasem jedynie dodatkiem do systemu ekonomicznego, którego architektura będzie w coraz większym stopniu miała nieludzki charakter. Człowiek w takim układzie spraw, jeszcze bardziej niż obecnie, zacznie być umiejscawiany w roli żywego narzędzia, dla którego i tak, z powodu jego niewystarczalności, dysponenci środków produkcji będą szukać wyżej rozwiniętych technicznych zastępników.

„Jeśli istota ludzka jest traktowana jako materiał do udoskonalenia albo do przekroczenia, wówczas łatwiej przyjąć, że niektórzy zostaną uznani za mniej użytecznych, mniej

CZĘSTO ŚMIECIOWA TREŚĆ DOSTARCZANA NAM PRZEZ ALGORYTMY STANOWI NISKĄ CENĘ ZA MOŻLIWOŚĆ BUDOWANIA ZŁOŻONEGO PROFILU LUDZKICH ZACHOWAŃ.

eprasa.pl 76d3415895

pożądanych czy mniej godnych. W imię postępu można dojść do wyobrażenia sobie «koniecznych ofiar» i kazać najsłabszym płacić cenę domniemanej optymalizacji" – pisze Leon XIV.

Oszustwo podmiotowości

Możliwość marginalizacji znaczenia ludzi w życiu społecznym [sic!] czy w obszarze wytwórczości – wobec rozwoju technologii AI – tym bardziej musi być brana pod uwagę, że algorytmy te relatywnie dobrze symulują podmiotowość. Już dziś wielu z nas stawia kontakt z interfejsem jednego czy drugiego modelu AI ponad relację z drugim człowiekiem. AI jest opisywane jako bardziej empatyczne, lepiej poinformowane, bezkonfliktowe, w pewien sposób bardziej ludzkie. To jednak złudzenie wytwarzane, by skuteczniej wysysać z ludzi ich wiedzę i doświadczenie. Często śmieciowa treść dostarczana nam przez algorytmy – oczywiście nie zawsze jest ona dla nas bezużyteczna – stanowi niską cenę za możliwość budowania złożonego profilu ludzkich zachowań, które potem mogą być zwrotnie na różne sposoby monetyzowane czy też wykorzystywane w systemach kontroli.

„Szybkość i prostota, z jakimi można uzyskać wskazówki, złożone opracowania, treści medialne oraz formy konkretnej pomocy upraszczają nasze życie, mogą jednak także przyzwyczajać nas do zbyt daleko idącego delegowania zadań i do szukania gotowych odpowiedzi, osłabiając osobisty osąd i kreatywność. Wrażenie obiektywności, jakie mogą wywoływać odpowiedzi i propozycje tych systemów, niesie ryzyko, że zapomnimy, iż odzwierciedlają one parametry kulturowe tych, którzy je zaprojektowali i wytrenowali, ze wszystkimi ich zaletami i wadami. Sztuczne naśladowanie pozytywnej komunikacji ludzkiej – słów rady, empatii, przyjaźni, miłości – może być satysfakcjonujące, a nawet użyteczne, ale niewystarczająco świadomych użytkowników może wprowadzać w błąd i stwarzać złudzenie, że pozostają oni w relacji z autentycznym podmiotem osobowym" – czytamy w „Magnifica humanitas".

Ofiary już są

W refleksji papieża Leona nad sztuczną inteligencją przejawia się stała obawa Kościoła związana z szeroko rozumianą technologią jako pewną formą nowoczesnego życia. Po pierwsze, że pokłada się w niej przesadne nadzieje, tak jakby była ona rodzajem nowoczesnej gnozy, magicznego instrumentu mającego pominąć żmudną pracę ludzkości nad bardziej integralnym rozwojem skupionym na losie konkretnych ludzi. Po drugie, że ostatecznie w wielu kwestiach jeszcze bardziej komplikuje ona i tak złożone problemy, z którymi mierzy się ludzkość, a w efekcie, podobnie do ideologii, odkłada spełnienie swoich obietnic, przyjmując, że ofiary postępu są nieuniknione.

Te ofiary są dziś widoczne nawet w Polsce – to przede wszystkim ludzie tracący możliwość zarobkowania z powodu wdrażania automatyzacji AI czy pracownicy doświadczający zaniżania wartości ich kompetencji przez kadrę zarządzającą ogarniętą euforią nowej technologii. Na naszych oczach, wobec możliwości optymalizacji i wizji spieniężenia efektów wdrożenia eksperymentalnych wciąż rozwiązań, dysponenci władzy ekonomicznej zapominają, że dobro ludzi, którzy dla nich pracują, jest nieskończenie większe od często abstrakcyjnego celu ekonomicznego. Niestety system sam się nakręca, nikt nie chce ponosić kosztów pozostawania w tyle, a te po prostu przerzuca się na pozbawionych realnego wpływu wykonawców.

> OFIARY POSTĘPU TO PRACOWNICY DOŚWIADCZAJĄCY ZANIŻANIA WARTOŚCI ICH KOMPETENCJI PRZEZ KADRĘ ZARZĄDZAJĄCĄ OGARNIĘTĄ EUFORIĄ NOWEJ TECHNOLOGII.

Romano Guardini, myśliciel cytowany w encyklikach papieża Franciszka i Leona, jeden z intelektualnych mistrzów papieża Benedykta, którego wpływ na „Caritas in veritate" jest wyraźny, nie miał złudzeń odnośnie do technologii i jej miejsca w ludzkim świecie: „Człowiek współczesny – pisał w swoim eseju «Koniec czasów nowożytnych» – dobrze wie, że w technice nie chodzi ostatecznie ani o pożytek, ani o dobrobyt, chodzi tylko o władzę, o skrajnie pojęte panowanie w nowej strukturze świata". Papież Leon nie jest w swojej encyklice tak radykalny, choć widzi zagrożenie podobne do tego, o którym pisał Guardini. Ludzie nie mogą zastąpić swojej odpowiedzialności moralnej czy politycznej rozwiązaniami natury technicznej, choćby były one najbardziej subtelne i do złudzenia przypominały działanie ludzkiego intelektu. Ostatecznie los człowieka, poza Bogiem, może pojąć tylko drugi człowiek.

eprasa.pl 76d3415895

Sprawczość pozostaje po stronie ludzi

– Wiele osób uważa dziś, że AI pozwala realizować dokładnie to, co twórca ma w głowie. W moim doświadczeniu jest odwrotnie. To nie jest jeszcze poziom, który pozwala reżyserowi kontrolować wszystko tak precyzyjnie, jak podczas klasycznej produkcji. Dlatego widzę przyszłość tych narzędzi przede wszystkim jako element większego procesu. Można wykorzystać je do efektów specjalnych, wizualizacji czy przygotowania pewnych elementów świata przedstawionego, ale nie jako pełny zamiennik pracy twórczej – mówi **Adam Nowak** w rozmowie z **Krzysztofem Karnkowskim**.

– „Intersection" zdobywa nagrody na zagranicznych festiwalach, ale wciąż nie trafił do szerokiej dystrybucji. Najtrudniej jest być prorokiem we własnym kraju?

– Warto przypomnieć, że film nakręciliśmy jeszcze w 2024 roku, a scenariusz powstał dwa lata wcześniej. To już dość stary projekt. Samo kino science fiction ma w Polsce trudniej niż kino głównego nurtu, a jeśli dodatkowo mówimy o filmie niskobudżetowym – problemy z dystrybucją są właściwie normą. Nie ukrywam jednak, że wierzę w ten film. Droga była długa – od znalezienia producenta, który uwierzy w nieoczywisty projekt, po realizację i festiwale. Paradoksalnie samo nakręcenie filmu było najłatwiejszym etapem. Wszystko, co dzieje się wokół filmu, jest zwykle bardzo trudne.

– Opowiedzmy więcej o nagrodach.

– Film zdobył nagrody aktorskie, wyróżnienia za reżyserię, dostaliśmy nagrodę dla najlepszego polskiego filmu na Science & Technology Film Festival w Krakowie. Byliśmy też na wielu festiwalach w Polsce i za granicą. Oczywiście to bardzo miłe, ale dla mnie najważniejszym sprawdzianem pozostaje widz. Największą nagrodą jest sytuacja, kiedy ktoś napisze, że obejrzał film i jeszcze przez tydzień o nim myślał. Właśnie o takie kino mi chodzi.

NAJWIĘKSZĄ NAGRODĄ JEST SYTUACJA, KIEDY KTOŚ NAPISZE, ŻE OBEJRZAŁ FILM I JESZCZE PRZEZ TYDZIEŃ O NIM MYŚLAŁ.

– Był też moment, kiedy zainteresowały się Wami media, zwłaszcza po sukcesach w Los Angeles. Wydaje mi się, że to jest trochę paradoks, że media dostrzegają film dopiero wtedy, kiedy ktoś go zauważy za granicą, ignorując dobrą polską produkcję.

– Trochę tak działa ten mechanizm. Jeśli film niezależny zostanie zauważony za granicą, łatwiej zwrócić na niego uwagę również w Polsce. W Los Angeles Sebastian Cybulski dostał nagrodę za najlepszą rolę męską, a Agnieszka Kawiorska i Sebastian Cybulski za najlepszy duet. Nie mam jednak do mediów pretensji. Powstaje ogromna liczba produkcji, trudno śledzić wszystko. Mam raczej wrażenie, że polskie środowisko dopiero przekonuje się do kina gatunkowego. Kilka lat temu podobnie było z horrorami. Dzisiaj są już traktowane znacznie poważniej. Myślę, że science fiction przechodzi podobną drogę. Jest też drugi problem – kiedy mówimy o science fiction, zwykłym widzom może wydawać się, że zobaczą „Gwiezdne wojny", tylko z małym budżetem. Polacy porywają się z motyką na słońce, starają się dorównywać wielkim amerykańskim produkcjom. To nie może się udać. Twierdzę jednak, że mi się udało,

eprasa.pl 76d3415895

Fot. Patryk Karbowski

bo wierzę, że kino SF jest czymś więcej niż tylko pokazem efektów specjalnych. „Intersection" jest filmem kameralnym. Dużo bliżej mu do „Ex Machiny" Alexa Garlanda niż do wielkich blockbusterów. Często słyszę też porównania do serialu „Czerne lustro" [„Black Mirror" – przyp. red.]. Jeśli już miałbym szukać odniesień, to właśnie w takim kierunku. Interesuje mnie przede wszystkim warstwa psychologiczna, społeczna i filozoficzna.

– W filmie połączone zostały dwa obszary, które zawsze były ciekawe dla fantastyki, czyli tematy sztucznej inteligencji i alternatywnych rzeczywistości. O czym więc jest „Intersection"?

– O człowieczeństwie. O tym, co nas definiuje i co pozostaje z człowieka w świecie coraz silniej kształtowanym przez technologię. W filmie pojawiają się dwa główne motywy: sztuczna inteligencja oraz alternatywne rzeczywistości. Oba prowadzą jednak do tego samego pytania: czy jesteśmy sumą własnych decyzji? Czy to właśnie nasze wybory definiują nas jako ludzi? Interesuje mnie to, jak wykorzystujemy czas, jakie priorytety wybieramy i jak te decyzje wpływają na nasze życie.

– W filmie sztuczna inteligencja zastępuje ludzi na rynku pracy. Dzisiaj ten temat wydaje się wyjątkowo aktualny.

– Kiedy pisaliśmy scenariusz, ChatGPT jeszcze nie był zjawiskiem, którym jest dzisiaj, dlatego trochę śmieję się, że zdążyliśmy trafić w temat przed jego eksplozją. Jednocześnie mam pewien problem z samym określeniem „sztuczna inteligencja". Bardzo często działa ono jak ekran, za którym chowamy rzeczywiste problemy. Mówi się: „AI zabierze nam pracę", „AI zagrozi ludzkości". Tylko czym właściwie jest AI? Oprogramowaniem. Narzędziem stworzonym przez ludzi. Jeżeli stworzymy oprogramowanie, które wyrządzi ludziom krzywdę, odpowiedzialność nie leży po stronie programu, tylko po stronie człowieka. Tymczasem używając skrótu „AI", często odbieramy sobie sprawczość. Zaczynamy mówić o technologii tak, jakby była samodzielnym bytem. Sprawczość była i pozostaje po stronie ludzi. To ważna rzecz, o której łatwo zapomnieć.

– W opisie swojego wcześniejszego krótkiego metrażu „Demiurg" piszesz: „Pojawienie się sztucznej inteligencji miało zwiastować dla ludzkości świetną przyszłość. Stało się jednak inaczej. Jedynymi beneficjentami nowych czasów

eprasa.pl 76d3415895

zostały wielkie korporacje, które jako właściciele nowej technologii zaczęły w swoich rękach kumulować ogromne bogactwo. Ludzie masowo tracili pracę i środki do życia, ponieważ byli zastępowani inteligentnymi robotami zwanymi androidami. Te, nie mając żadnych praw, pełniły rolę niewolników, jednak z czasem zamiast zgodzić się ze swoim losem, zmierzyły się z wykluczonymi ludźmi". Czy uważasz, że na jakimś dalszym etapie możemy dojść do momentu, kiedy również sztuczna inteligencja zyska świadomość, że jest wyzyskiwana w tym systemie?

– Ten bunt jest możliwy, ale nie dlatego, że sztuczna inteligencja się zbuntuje. Bardziej dlatego, że korzyści z tej technologii mogą zostać zawłaszczone przez bardzo niewielką grupę ludzi. To zresztą główny temat filmu „Demiurg". Androidy są tam bardziej metaforą ludzi wykluczonych niż próbą przewidywania przyszłości technologii. Interesuje mnie pytanie, kto korzysta na postępie. Jeśli nie będziemy uważać, może się okazać, że zyski z kolejnej wielkiej rewolucji technologicznej trafią wyłącznie do najbogatszych.

– A co z wizją świadomej sztucznej inteligencji?

– To bardzo ciekawe pytanie, ale problem polega na tym, że nie potrafimy nawet zdefiniować ludzkiej świadomości. Nie istnieje naukowy konsensus, czym ona właściwie jest.

Dlatego wszystkie prognozy dotyczące świadomego AI są w dużej mierze spekulacją. Mam też wrażenie, że bardzo łatwo przypisujemy maszynom ludzkie cechy. Tymczasem, jeśli kiedyś powstanie coś, co będzie przypominało świadomość, prawdopodobnie będzie to coś zupełnie innego niż my. Nie będzie miało naszej biologii, naszych wspomnień, emocji czy sposobu postrzegania świata.

SZTUKA TWORZONA PRZEZ CZŁOWIEKA ZACHOWA SWOJĄ WARTOŚĆ WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE STOI ZA NIĄ CZŁOWIEK.

– Jakie widzisz największe szanse i największe zagrożenia związane z AI z punktu widzenia ludzi?

– Szanse są ogromne. Już dziś istnieją systemy pomagające w biologii czy medycynie, które przyspieszają badania i rozwiązują problemy, z którymi ludzie zmagaliby się latami.

Zagrożenie widzę przede wszystkim w koncentracji korzyści. Możemy stworzyć technologię, która poprawi życie miliardów ludzi, ale równie dobrze możemy stworzyć technologię, której owoce trafią wyłącznie do wąskiej grupy najbogatszych. To nie jest problem techniczny. To problem polityczny, społeczny i ekonomiczny.

JEŻELI STWORZYMY OPROGRAMOWANIE, KTÓRE WYRZĄDZI LUDZIOM KRZYWDĘ, ODPOWIEDZIALNOŚĆ NIE LEŻY PO STRONIE PROGRAMU, TYLKO CZŁOWIEKA.

– Jak doświadczałeś obecności AI w pracy nad filmem?

– W przypadku „Intersection" praktycznie jej nie było. Kiedy kończyliśmy postprodukcję, narzędzia generatywne nie były jeszcze na poziomie, który znamy dzisiaj. Wszystkie efekty wykonywaliśmy tradycyjnymi metodami. Nie oznacza to jednak, że jestem przeciwnikiem takich technologii. Wręcz przeciwnie. Uważam, że mogą być bardzo pomocne dla twórców niezależnych. Dzięki nim ludzie, którzy nie dysponują budżetami wielkich studiów, zyskują dostęp do narzędzi pozwalających realizować pomysły wcześniej pozostające poza ich zasięgiem. To pewna forma demokratyzacji kina. Niemniej, jeśli będę mógł zrealizować kolejny projekt, będę się też wspierał technologią sztucznej inteligencji, ale raczej jako narzędzie pomocnicze niż zastępstwo dla twórcy. Nie planuję realizować całych filmów za pomocą generatorów obrazu czy wideo. Powód jest prosty: nadal nie dają one wystarczającej kontroli. W filmie każdy kadr ma znaczenie. Każdy ruch kamery jest świadomą decyzją. Tymczasem generatory

eprasa.pl 76d3415895

często działają w sposób nieprzewidywalny. Możesz bardzo dokładnie opisać scenę, a i tak otrzymasz coś innego, niż sobie wyobrażałeś. Oczywiście czasami rezultat jest ciekawy, ale nadal jest to bardziej wybieranie spośród propozycji niż pełna kontrola nad procesem twórczym. Wiele osób uważa dziś, że AI pozwala realizować dokładnie to, co twórca ma w głowie. W moim doświadczeniu jest odwrotnie. To nie jest jeszcze poziom, który pozwala reżyserowi kontrolować wszystko tak precyzyjnie, jak podczas klasycznej produkcji. Dlatego widzę przyszłość tych narzędzi przede wszystkim jako element większego procesu. Można wykorzystać je do efektów specjalnych, wizualizacji czy przygotowania pewnych elementów świata przedstawionego, ale nie jako pełny zamiennik pracy twórczej.

– Twórcy graficzni czy muzycy często reagują na AI bardzo emocjonalnie. Część uważa, że odbierze im pracę, część twierdzi, że obniża wartość sztuki. Podzielasz te obawy?

– Rozumiem je. Myślę jednak, że rzeczywistość okaże się bardziej skomplikowana. Z jednej strony próg wejścia rzeczywiście zostanie obniżony. Ktoś, kto kiedyś nie miał żadnych szans na realizację własnego filmu czy teledysku, dziś może spróbować zrobić to samodzielnie, może osiągnąć przyzwoity efekt znacznie mniejszym kosztem. To jest wielka zmiana na plus. Równolegle pojawia się pytanie o autorstwo i odpowiedzialność twórczą. Sam przeprowadziłem eksperyment. Zrealizowałem osiemnastominutowy film science fiction przy użyciu narzędzi AI, głównie po to, by poznać ich ograniczenia. Wtedy zacząłem się zastanawiać nad czymś bardzo prostym. Coraz częściej spotykam osoby przedstawiające się jako „reżyserzy filmów AI". Tylko kim właściwie jest taki reżyser? To nie jest złośliwe pytanie. Naprawdę mnie to ciekawi. Jeżeli masz bardzo konkretną wizję i próbujesz ją zrealizować, to nadal jesteś twórcą korzystającym z nowego narzędzia. Ale jeżeli cały proces polega na wpisywaniu kolejnych promptów i wybieraniu spośród losowo generowanych propozycji, to pojawia się pytanie, ile w tym jest jeszcze reżyserii, a ile selekcji gotowych rozwiązań. Ludzie często mówią o „halucynacjach" sztucznej inteligencji, jakby były one wyjątkiem od reguły. Tymczasem generatywna AI działa właśnie w ten sposób. Ona nie odtwarza rzeczywistości, tylko nieustannie przewiduje najbardziej prawdopodobne odpowiedzi na podstawie danych, na których została wytrenowana. Dlatego za każdym razem dostajesz trochę inny rezultat. W przypadku filmu jest to szczególnie widoczne. Możesz wygenerować ujęcie twarzy, a potem spróbować oddalić kamerę i nagle okazuje się, że świat wokół wygląda zupełnie inaczej niż chwilę wcześniej. System nie pamięta tego, co stworzył w taki sposób, w jaki robi to człowiek. To bardzo potężne narzędzie, ale nadal narzędzie. Sztuka tworzona przez człowieka zachowa swoją wartość właśnie dlatego, że stoi za nią człowiek. Historia kina daje nam zresztą ciekawe przykłady. Kiedy efekty komputerowe zaczęły dominować w Hollywood, wydawało się, że wszystko będzie generowane cyfrowo. Tymczasem po latach zaczęto coraz bardziej doceniać prawdziwe dekoracje, prawdziwe lokacje, kaskaderów czy efekty praktyczne. Jeżeli widz wie, że coś zostało naprawdę wykonane, często odbiera to jako bardziej wartościowe. Myślę, że podobnie będzie ze sztuczną inteligencją. Nie zniknie potrzeba opowiadania historii. Nie zniknie potrzeba posiadania własnej wizji. Nie zniknie też potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem. Zmieni się natomiast zestaw narzędzi, którymi będziemy się posługiwać. I być może właśnie dlatego najważniejsze pytanie nie brzmi dziś: „Czy AI zastąpi człowieka?", ale raczej: „Jak człowiek wykorzysta AI?". Odpowiedź na to pytanie nadal zależy przede wszystkim od nas.

NIE ZNIKNIE POTRZEBA OPOWIADANIA HISTORII. NIE ZNIKNIE POTRZEBA POSIADANIA WŁASNEJ WIZJI. NIE ZNIKNIE TEŻ POTRZEBA KONTAKTU Z DRUGIM CZŁOWIEKIEM.

Adam Nowak jest twórcą filmowym, reżyserem od lat próbującym tworzyć polskie kino science fiction. Po kilku udanych krótkich metrażach, które można znaleźć na YouTubie, w 2024 roku nakręcił swój pierwszy pełnometrażowy film „Intersection". Scenariusze tworzy wspólnie ze swoim bratem, Markiem, znanym naszym Czytelnikom z łamów „Tygodnika Solidarność".

eprasa.pl 76d3415895

Sztuczna inteligencja dla pracowników, nie zamiast nich

Sztuczna inteligencja w miejscu pracy to wiele nowych szans dla pracowników, ale jednocześnie ryzyko zagrożeń. Solidarność **nie odrzuca** nowych technologii, ale podkreśla konieczność ich społecznie odpowiedzialnego wdrażania oraz ochrony praw pracowniczych.

Barbara Michałowska

W oficjalnym stanowisku Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" przyjętym w grudniu 2024 roku członkowie Prezydium KK NSZZ „S" podkreślili, że sztuczna inteligencja i automatyzacja mogą przyczyniać się do wzrostu efektywności przedsiębiorstw oraz poprawy konkurencyjności polskiej gospodarki. Solidarność dostrzega potencjał nowych technologii w zakresie usprawniania procesów produkcyjnych, ograniczania monotonnych czynności oraz wspierania innowacyjności przedsiębiorstw.

Szansa na rozwój

W ocenie Solidarności automatyzacja może przynieść korzyści zarówno pracodawcom, jak i pracownikom, pod warunkiem że jej wdrażanie nie będzie podporządkowane wyłącznie redukcji kosztów pracy. Związek podkreśla, że oszczędność czasu wynikająca z zastosowania AI powinna zostać wykorzystana do rozwoju kompetencji pracowników, podnoszenia kwalifikacji i zwiększania jakości pracy. AI nie powinna służyć jedynie zastępowaniu człowieka, ale także wspieraniu jego rozwoju zawodowego.

Takie stanowisko wpisuje się w szerszą europejską debatę dotyczącą tzw. sprawiedliwej transformacji cyfrowej, w której rozwój technologiczny powinien być połączony z ochroną zatrudnienia oraz inwestycjami w kapitał ludzki.

Fot. Adobe Stock

Zagrożenia

Jednocześnie NSZZ „Solidarność" wyraża wiele obaw związanych z konsekwencjami rozwoju AI dla zatrudnienia. Najważniejszą z nich jest ryzyko ograniczania liczby miejsc pracy lub pogorszenia jakości zatrudnienia wskutek automatyzacji procesów wykonywanych dotychczas przez ludzi. Według Związku wdrażanie sztucznej inteligencji może prowadzić do redukcji części stanowisk oraz wzrostu niepewności zawodowej pracowników.

„Nasze główne obawy dotyczą wpływu automatyzacji opartej na sztucznej inteligencji na stabilność zatrudnienia oraz bezpieczeństwo pracowników. Wprowadzenie zaawansowanych technologii może wiązać się z potrzebą ograniczenia liczby etatów na niektórych stanowiskach, co mogłoby niekorzystnie wpłynąć na sytuację zatrudnionych i ich rodzin, powodując wzrost bezrobocia technologicznego. Zdajemy sobie sprawę, że automatyzacja może otworzyć nowe miejsca pracy, jednak

eprasa.pl 76d3415895

proces ten wymaga przemyślanego planu przekwalifikowania i wsparcia osób, których stanowiska mogą zostać w przyszłości zastąpione przez rozwiązania technologiczne" – czytamy w stanowisku.

Szczególne znaczenie ma problem tzw. spłaszczania struktury stanowisk. Solidarność zwraca uwagę, że AI może upraszczać wiele zadań wymagających dotąd wysokich kwalifikacji. W efekcie część obowiązków specjalistów może zostać przejęta przez systemy informatyczne lub być wykonywana przez osoby posiadające mniejsze doświadczenie. W opinii Związku może to prowadzić do deprecjacji wiedzy eksperckiej oraz osłabienia pozycji zawodowej pracowników wysoko wykwalifikowanych.

Związkowcy podkreślają również, że szczególnie narażeni na negatywne skutki transformacji technologicznej są młodzi ludzie rozpoczynający karierę zawodową. Dynamiczne zmiany technologiczne utrudniają bowiem planowanie ścieżki zawodowej oraz zdobywanie doświadczenia w zawodach, które mogą zostać częściowo zautomatyzowane.

– Do wielu struktur docierają dziś wyraźne sygnały, że pracodawcy szeroko rozumianą cyfryzację postrzegają przede wszystkim jako narzędzie zwiększania swoich zysków. Związki zawodowe próbują się temu przeciwstawiać, a czasem wręcz schodzić z drogi cyfryzacji. Nie zawsze jest to jednak konieczne i na pewno nie jest tak, że dążymy do całkowitego odrzucenia cyfryzacji. Problem polega na czym innym: niestety dla pracowników cyfryzacja powoduje określone zagrożenia, z którymi musimy sobie radzić – mówił Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", podczas międzynarodowego seminarium pt. „Cyfrowa transformacja pracy – zagrożenia i możliwości: zadania dla partnerów społecznych", organizowanego w ramach cyklu seminariów EZA. Odpowiedzią na zagrożenia jest jego zdaniem dialog społeczny oraz dążenie do wypracowania standardów prawnych dotyczących AI.

Kluczowym elementem stanowiska Prezydium KK NSZZ „Solidarność" jest postulat pełnego poszanowania praw pracowniczych podczas wdrażania systemów AI.

Według Solidarności wdrażanie systemów opartych na sztucznej inteligencji powinno być poprzedzone konsultacjami z przedstawicielami pracowników. Organizacje związkowe powinny mieć możliwość oceny wpływu nowych rozwiązań technologicznych na warunki pracy, poziom zatrudnienia oraz bezpieczeństwo pracowników.

AI w służbie pracownikowi, nie odwrotnie

Jednym z najważniejszych obszarów zainteresowania Solidarności jest wykorzystanie AI do monitorowania i oceniania pracowników. Związkowcy podkreślają, że systemy służące kontroli efektywności pracy muszą być przejrzyste i nie mogą działać wyłącznie w sposób automatyczny. Człowiek powinien zachować możliwość nadzoru nad decyzjami podejmowanymi przez algorytmy, dlatego że automatyczne systemy oceny mogą prowadzić do dyskryminacji, błędnych decyzji kadrowych oraz naruszania prywatności pracowników.

Związkowi eksperci podkreślają również, że pracownicy mają prawo wiedzieć, jakie dane są o nich gromadzone, w jaki sposób są przetwarzane i jakie konsekwencje mogą wynikać z analiz prowadzonych przez systemy AI.

Istotnym elementem wizji prezentowanej przez Solidarność jest rozwój kompetencji cyfrowych pracowników. Związek podkreśla, że przedsiębiorstwa korzystające z AI powinny inwestować w szkolenia, kursy oraz programy podnoszenia kwalifikacji. Dzięki temu pracownicy będą mogli odnaleźć się w zmieniających się warunkach rynku pracy i wykorzystywać nowe technologie jako narzędzia wspierające ich codzienną pracę.

Z perspektywy Solidarności rozwój AI powinien więc wzmacniać człowieka, a nie prowadzić do jego marginalizacji. „Wierzymy, że AI może stać się narzędziem wspierającym rozwój gospodarczy i społeczny, pod warunkiem że będzie wdrażana z poszanowaniem praw pracowniczych, w dialogu społecznym i z zachowaniem wszelkich wymaganych rodzajów konsultacji oraz z odpowiedzialnym podejściem do wyzwań wynikających z jej użycia" – piszą przedstawiciele Solidarności w wyżej wspomnianym stanowisku.

AUTOMATYCZNE SYSTEMY OCENY MOGĄ PROWADZIĆ DO DYSKRYMINACJI, BŁĘDNYCH DECYZJI KADROWYCH ORAZ NARUSZANIA PRYWATNOŚCI PRACOWNIKÓW.

eprasa.pl 76d3415895

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

W pierwszych latach transformacji liberalizm gospodarczy dla wielu stał się nową ortodoksją, której skuteczności nie wypadało kwestionować. Tym ciekawiej dziś brzmi głos późniejszego prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego, który już w 1991 roku przestrzegał przed naiwną wiarą w samoregulującą się potęgę rynku i przekonywał, że budowa kapitalizmu wymaga także **aktywnej roli państwa**. W poniższym artykule studził nierealistyczne oczekiwania społeczne i ostrzegał przed traktowaniem liberalizmu jako bezalternatywnej drogi rozwoju kraju. Tekst ukazał się w numerze 6 (125) „Tygodnika Solidarność” 8 lutego 1991 r. Przypominamy go z okazji 45-lecia naszego pisma.

Ostrożnie z liberalizmem

Adam Glapiński

„Z tym socjalizmem to trochę jednak przesadziliśmy”.
(Jedno z haseł demonstracji studenckiej w Pradze 17 listopada 1989 r.)

W pewnym sensie wszyscy jesteśmy socjalistami – stwierdził sarkastycznie dziesięć lat temu Friedrich A. von Hayek. Jest charakterystycznym paradoksem, że wszędzie tam, gdzie opinia publiczna popiera system oparty na żywiołowym ładzie rynku, czyni to, przypisując mu zdroworozsądkowo prawidłowości, których wcale on nie posiada. Jak np. wskazuje na to w innej swej pracy von Hayek, system oparty na ładzie rynkowym i wolnej przedsiębiorczości jest często, wbrew faktom, broniony czy chwalony za to, że wynagradza on sprawiedliwie tych, którzy na to zasługują, którzy szczególnie pilnie pracują, są szczególnie uzdolnieni lub przedsiębiorczy.

Rynek nie jest „sprawiedliwy”!

Gdyby taki był (niezależnie od tego, jak rozumieć pojęcie sprawiedliwości), to nie przynosiłby w efekcie dobrobytu, którego doświadczają kraje Zachodu. Już dla klasyków liberalizmu (Locke, Smith) było całkowicie jasne, że sprawiedliwy lub niesprawiedliwy może być tylko sposób uprawiania konkurencji, zabiegów o indywidualny dobrobyt, a nie wynik tych zabiegów i konkurencji. Jak to do znudzenia przypomina von Hayek, von Mises, Friedman i inni apostołowie filozofii klasycznego liberalizmu (a czego nie chcą uparcie zrozumieć prości duchem popularyzatorzy tej filozofii w Polsce), mechanizm rynkowy i społeczny w wolnym społeczeństwie opartym na rynku jest mechanizmem „gry umiejętności i przypadku”. „Niezasłużone”

SPRAWIEDLIWY LUB NIESPRAWIEDLIWY MOŻE BYĆ TYLKO SPOSÓB UPRAWIANIA KONKURENCJI, ZABIEGÓW O INDYWIDUALNY DOBROBYT, A NIE WYNIK TYCH ZABIEGÓW I KONKURENCJI.

eprasa.pl 76d3415895

4

ADAM GLAPIŃSKI

Ostrożnie z liberalizmem

Z tym socjalizmem to trochę jednak przesadziliśmy

(Jedno z haseł demonstracji studenckiej w Pradze 17 listopada 1989)

Po drugie, doktryna liberalna, podobnie jak i polityczny system demokracji parlamentarnej, nie ma w naszym kraju naturalnej bazy społecznej. Nie tylko brakuje się, silna warstwa mieszczańska, której liberalizm polityczny i gospodarczy zawdzięcza swe narodziny i rozwój. W obecnej sytuacji jego zwolennicy (nie zwiększą też wkrótce tworzenie) bazy będzie w najlepszym razie część wykształconej inteligencji (zwłaszcza środowisko ludzi), rozliczeni na rzecz prywatnej przedsiębiorczości a w perspektywie — jakkolwiek niepewnie bezrobotny to w tej chwili — przede wszystkim samodzielne chłopstwo. Wątpliwe w tej chwili poparcie przez robotników zasad gospodarki rynkowej (wprawdzie bezrobotni są — niestety — głównie przyczyną

Rynek nie jest „sprawiedliwy"?

Gdyby taki był (niezależnie od tego jak rozumieć pojęcie sprawiedliwości), to nie przyniosłby w ciągu dziesięciu, kilkuset doświadczeń krajów Zachodu. Już dla klasyków liberalizmu (Locke, Smith) było całkowicie jasne, że **sprawiedliwy lub niesprawiedliwy może być tylko sposób uprawiania konkurencji, zabiegów o indywidualny dobrobyt, a nie wynik tych zabiegów i konkurencji.** Jak to do znudzenia przypomina von Hayek, von Mises, Friedman i inni spadkobiercy filozofii klasycznego liberalizmu, (a czego nie chcą uparcie zrozumieć przeciwnicy duchem popularyzatorzy tej filozofii w Polsce), mechanizm rynkowy i społeczny w wolnym społeczeństwie opartym na rynku jest mechanizmem „gry umiejętności i przypadku". „Niezasłużone" niepowodzenie i „niesprawiedliwe" ubóstwo są w takim systemie równie prawdopodobne, jak sukces i indywidualny dobrobyt. **Sprawiedliwe lub niesprawiedliwe są reguły gry, ale ocenie takiej nie podlega sam jej wynik.**

W świetle powyższych spostrzeżeń zwraca uwagę powszechna akceptacja gospodarki rynkowej i wolnej przedsiębiorczości w krajach postkomunistycznych. Łatwo tu jednak o nieporozumienia. Społeczeństwa wyzwalające się spod totalizmu czeka długa, kręta i z pewnością nierzadko dramatyczna droga nie tylko do prawnoustrojowego zbudowania instytucji gospodarki rynkowej, ale przede wszystkim do ugruntowania się społecznej akceptacji jej zasad. Akceptacji opartej na autentycznym, a nie – jak obecnie w Polsce – na fałszywym zrozumieniu istoty mechanizmu rynkowego. Dlatego też społeczne przyzwolenie na reformy liberalne w Polsce jest iluzoryczne i nietrwałe.

Niechybny odwrót

Nie ulega – moim zdaniem – żadnej wątpliwości, że polska opinia publiczna tak samo łatwo się wkrótce od haseł liberalnych odwróci, jak teraz łatwo się na nie nawróciła. Ten niechybny i pospieszny odwrót nastąpi co najmniej z trzech powodów: **Pierwszy z nich, natury psychologicznej, to naturalne wygaśnięcie entuzjazmu wykształconych neofitów i rozbudzonych, płonnych nadziei mas.** Mówiąc językiem Woltera, „większość obecnych protestantów to wychowankowie jezuitów". Moment historyczny, w którym się znajdujemy, jest wyjątkowy, ale nie aż tak bardzo, aby zmienić prawidłowości psychospołeczne natury ludzkiej. Prostacki liberalizm, podobnie jak do niedawna „naukowy komunizm", choć jest równie łatwy do tłumaczenia rzeczywistości, ma tę samą podstawową wadę – nie przystaje do realiów doświadczenia życiowego jednostek. Proste umysły, które łatwo sobie taką doktrynę przyswajają, szybko się od niej odwracają, gdy nie sprzyja ona realizacji ich oczekiwań i nie odpowiada ich bezpośrednim interesom. Inaczej jest oczywiście z zawodowymi intelektualistami. Ich obecne

niepowodzenie i „niesprawiedliwe" ubóstwo są w takim systemie równie prawdopodobne, jak sukces i indywidualny dobrobyt. Sprawiedliwe lub niesprawiedliwe są reguły gry, ale ocenie takiej nie podlega sam jej wynik.

W świetle powyższych spostrzeżeń zwraca uwagę powszechna akceptacja gospodarki rynkowej i wolnej przedsiębiorczości w krajach postkomunistycznych. Łatwo tu jednak o nieporozumienia. Społeczeństwa tych krajów, pragnąc wolności politycznych i dobrobytu, słusznie przymierzają swe aspiracje do sprawdzonych historycznie zachodnich modeli ustrojowych. Nie ulega jednak wątpliwości, że zrozumienie istoty mechanizmów rynkowych i funkcji społecznych zasady wolnej przedsiębiorczości

jest w społeczeństwach posttotalitarnych jeszcze bardziej znikome niż na Zachodzie. Społeczeństwa wyzwalające się spod totalizmu czeka długa, kręta i z pewnością nierzadko dramatyczna droga nie tylko do prawnoustrojowego zbudowania instytucji gospodarki rynkowej, ale przede wszystkim do ugruntowania się społecznej akceptacji jej zasad. Akceptacji opartej na autentycznym, a nie – jak obecnie w Polsce – na fałszywym zrozumieniu istoty mechanizmu rynkowego. Dlatego też społeczne przyzwolenie na reformy liberalne w Polsce jest iluzoryczne i nietrwałe.

Niechybny odwrót

Nie ulega – moim zdaniem – żadnej wątpliwości, że polska opinia publiczna tak samo łatwo się wkrótce od haseł liberalnych odwróci, jak teraz łatwo się na nie nawróciła. Ten niechybny i pospieszny odwrót nastąpi co najmniej z trzech powodów: Pierwszy z nich, natury psychologicznej, to naturalne wygaśnięcie entuzjazmu wykształconych neofitów i rozbudzonych, płonnych nadziei mas. Mówiąc językiem Woltera, „większość obecnych protestantów to wychowankowie jezuitów". Moment historyczny, w którym się znajdujemy, jest wyjątkowy, ale nie aż tak bardzo, aby zmienić prawidłowości psychospołeczne natury ludzkiej. Prostacki liberalizm, podobnie jak do niedawna „naukowy komunizm", choć jest równie łatwy do tłumaczenia rzeczywistości, ma tę samą podstawową wadę – nie przystaje do realiów doświadczenia życiowego jednostek. Proste umysły, które łatwo sobie taką doktrynę przyswajają, szybko się od niej odwracają, gdy nie sprzyja ona realizacji ich oczekiwań i nie odpowiada ich bezpośrednim interesom. Inaczej jest oczywiście z zawodowymi intelektualistami. Ich obecne

eprasa.pl 76d3415895

zachłyśnięcie się liberalizmem będzie trwalsze. Mniej lotni spośród nich znajdą sobie, w jego sprymitywizowanej wersji, nowy odpowiednik „diamatu”, którego zasady i żargon można opanować w kilka dni, zyskując cudowną zdolność udzielania prostych odpowiedzi na trudne pytania, unosząc się przy tym w aurze nowoczesnego światowca.

Po drugie, doktryna liberalna, podobnie jak i polityczny system demokracji parlamentarnej, nie ma w naszym kraju naturalnej bazy społecznej. Nie istnieje licząca się, silna warstwa mieszczańska, której liberalizm polityczny i gospodarczy zawdzięcza swe narodziny i rozwój. W obecnej sytuacji jego trwałą (bo związaną też własnym interesem) bazą będzie u nas jedynie część wspomnianej wyżej inteligencji (zwłaszcza intelektualiści), nieliczni na razie prywatni przedsiębiorcy, a w perspektywie – jakkolwiek niepoważnie brzmiałoby to w tej chwili – przede wszystkim samodzielne chłopstwo. Względne w tej chwili poparcie przez robotników zasad gospodarki rynkowej najprawdopodobniej ma – niestety – charakter przejściowy i będzie się zmniejszać wraz z jej rozszerzaniem się, zwłaszcza że towarzyszy temu (spowodowane skądinąd czymś innym); drastyczne obniżanie się poziomu życia.

Trzecią wreszcie przyczyną nietrwałości haseł wolnorynkowych w Polsce będzie ich widoczna, choć pozorna nieadekwatność do obecnej sytuacji gospodarczej. Konieczność przekształcenia gospodarki polskiej w gospodarkę rynkową jest już oczywista nawet i dla polskiej lewicy (choć w przeciwieństwie do np. projektu programu gospodarczego Porozumienia Centrum wzdragają się oni na słowo „kapitalizm”). Powszechnie uświadamiany jest przecież fakt, że wszystkie zamożne kraje Zachodu oraz szybko się rozwijający Daleki Wschód opierają się na gospodarce rynkowej. Jednak doświadczenia ostatniego półrocza jasno uświadomiły trzeźwym obserwatorom naiwność założenia, że samo poluzowanie biurokratycznej kontroli państwowej doprowadzi do budowy efektywnej gospodarki rynkowej. Niektórzy neofici, odurzeni poetyką pism klasyków liberalizmu, zapomnieli, że poza Anglią i Niderlandami żaden kraj europejski nie przechodził w ogóle etapu wolnokonkurencyjnego, że kraje, takie jak np. Niemcy czy Japonia, zbudowały swą gospodarczą potęgę i dobrobyt na drodze odgórnego świadomego konstruowania struktur instytucjonalnych gospodarki. Oczekiwanie, że „niewidzialna ręka rynku” sama zbuduje rynek, jest absurdalne i już teraz nas drogo kosztuje. Niektórzy doradcy rządowi muszą sobie szybko uświadomić (najlepiej nie ucząc się naszym kosztem na swoich błędach), że „realny kapitalizm” jest bardziej skomplikowany niż aprioryczny model gospodarczy oparty na „czystej” doktrynie liberalnej. A szczególnie dotyczy to samego procesu powstawania zrębów tego systemu. Nic zrobi tego „niewidzialna ręka”.

Byłoby niewybaczalnym błędem, gdybyśmy złożyli swój los w ręce dobrodusznych entuzjastów lesefe-rystycznych, którzy z akademicką beztroską chcą stosować do kierowania zmonopolizowaną, postkomunistyczną gospodarką instrumenty odpowie dnie dla gospodarki prawdziwie rynkowej. A gospodarka polska będzie tak długo gospodarką nierynkową, jak długo np. nie powstaną warunki, przy których przedsiębiorstwa będą normalnie reagować na sygnały rynkowe. Nie jest bowiem rynkową gospodarka, gdzie prawu popytu nie towarzyszy jego bliźniaczy brat – prawo podaży, a wielkość produkcji nie zmienia się w wyniku ruchu cen. Pozostając realistą, nie można sobie wyobrazić innej drogi do normalności niż oparcie ładu gospodarczego na przewadze prywatnej własności kapitału. Nie zrobi tego za nas żadna niewidzialna ręka. Potrzebny jest nam dzisiaj mocny społecznym przyzwoleniem (dopóki ono jest) oraz ustawowymi prerogatywami interwencjonizm państwowy skierowany na całkowitą i jak najszybszą destrukcję struktur gospodarki komunistycznej i budowę instytucji kapitalistycznego rynku.

Nie mamy obecnie w gospodarce innego wyboru, niż być sceptycznymi realistami. Nie socjalistami czy leseferystami, ale pragmatykami. Odrzuciliśmy stanowczo marzenie socjalistyczne. W tak delikatnym i ważnym momencie nie przesadźmy jednak tym razem z liberalizmem.

NIE JEST RYNKOWĄ GOSPODARKA, GDZIE PRAWU POPYTU NIE TOWARZYSZY JEGO BLIŹNIACZY BRAT – PRAWO PODAŻY, A WIELKOŚĆ PRODUKCJI NIE ZMIENIA SIĘ W WYNIKU RUCHU CEN.

eprasa.pl 76d3415895

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Splunięcie w twarz

Decyzja Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek wojskowych imienia „Bohaterów UPA" wywołała oburzenie, które trudno uznać za przesadzone. Niestety, nie jest to odosobniony przypadek, ale konsekwentne działanie ukraińskich decydentów, którzy powinni mieć świadomość, że zrodzi to poważne konsekwencje.

Decyzja Zełenskiego wywołała w Polsce burzę, bo wywołać ją musiała. Prezydent Ukrainy miał pełną świadomość, co robi i jak to zostanie odebrane przez Warszawę, a jednak to zrobił. Dlaczego? Przynajmniej z kilku powodów, choć nie mają tu one większego znaczenia. Być może poza jednym – bo mógł, a dotychczasowe reakcje Polski tylko go w tym rozzuchwaliły.

To, co przy okazji warto odnotować, to reakcje ukraińskiego internetu, który stanął murem za Zełenskim, a przy tym objawił się jako niezwykle nieprzyjazny Polsce i Polakom. Czy będzie to dla niektórych zimny prysznic? Śmiem wątpić.

Można oczywiście przyjąć, że Ukraina buduje własną politykę historyczną, a spora część ukraińskiego społeczeństwa postrzega UPA przez pryzmat walki z Sowietami. Tyle że wzięcie na sztandary Bandery powinno mieć swoje polityczne konsekwencje, o których powiedział m. in. prezydent Karol Nawrocki – z takimi „bohaterami" Kijów do UE nie wejdzie.

W Polsce Wołyń nie jest historycznym przypisem czy białą plamą. To nie jest akademicka dyskusja, ale niezabliźniona rana. To pamięć o ponad stu tysiącach ofiar zamordowanych w bestialski sposób przez formacje związane z UPA, które do dzisiaj nie doczekały się godnego pochówku i upamiętnienia. Właśnie ze względu na postawę Ukraińców.

Niestety, reakcja polskich władz pozostawia wiele do życzenia. Najpierw mieliśmy skandaliczne i miałkie oświadczenie ambasady RP w Kijowie, od którego odciął się nawet MSZ, a później niezbyt stanowcze stanowiska rządzących. Jakby najważniejsze było nie to, by stanowczo stanąć w obronie polskiej pamięci historycznej, lecz by przypadkiem nie wywołać większego konfliktu dyplomatycznego. Tymczasem są sytuacje, w których państwo powinno mówić jasno i wyraźnie.

Dopiero twarda reakcja prezydenta Karola Nawrockiego, który dodatkowo zapowiedział odebranie Zełenskiemu Orderu Orła Białego, zmieniła sytuację. Oczywiście, od razu pojawili się i tacy, którzy postanowili przy tej okazji zaatakować głowę państwa. Pomijają przy tym fakt, że mamy do czynienia z gestem czysto symbolicznym, który wymierzony jest bezpośrednio w prezydenta Ukrainy.

Polska, która przez lata była jednym z najważniejszych sojuszników Ukrainy, ma pełne prawo oczekiwać szacunku wobec własnej pamięci historycznej. Wbrew zaklęciom niektórych, historia, która nie jest przepracowana, nie znika, ale wraca. Zwłaszcza, gdy politycy próbują używać jej jako narzędzia budowania bieżącej narracji.

eprasa.pl 76d3415895

Nawet zemsta NIE WYSZŁA

Fot. Łukasz Dejnarowicz / Forum

Donald Tusk nie dopadł pisowców, nie powsadzał ich do więzień, nie odebrał majątków. Odwet się nie udał, ale dążenie do niego **zatruło** Koalicję Obywatelską, a właściwie cały obóz rządzący. Gdzie właściwie popełnili błąd?

Mariusz Staniszewski

Teoretyk wojny Carl von Clausewitz – nawiasem mówiąc, wyjątkowo nienawidzący Polaków – pisał, że ofensywa nie może trwać wiecznie. Im dłużej rozciąga się w czasie, tym bardziej słabnie jej impet. Premier Tusk najwyraźniej nie zapamiętał tego fragmentu dzieła pruskiego generała, bo antypisowską kampanię zapowiedział na całą kadencję. Tymczasem już po pierwszych miesiącach było widać, że przynosi ona katastrofalne skutki – zarówno dla jego formacji, jak i dla państwa.

eprasa.pl 76d3415895

Początkowe sukcesy – siłowe zajęcie mediów publicznych i prokuratury, posłanie za kratki posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, pozbawianie kolejnych polityków immunitetów, wsadzenie do aresztów i torturowanie księdza Michała Olszewskiego oraz urzędniczek odpowiedzialnych za wydawanie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, szantażowanie Pawła Szopy czy próba złamania Anny Wójcik, byłej dyrektor biura Mateusza Morawieckiego – miały doprowadzić do zastraszenia i złamania wszelkiego oporu. Stało się jednak odwrotnie. Represje skonsolidowały nie tylko partię Jarosława Kaczyńskiego, lecz także całą prawicę. I to na tyle mocno, że przyniosły sukces wyborczy Karolowi Nawrockiemu. Cała konstrukcja odwetu, dla niepoznaki nazywanego rozliczeniami, okazała się z wielu powodów nieskuteczna.

REPRESJE SKONSOLIDOWAŁY NIE TYLKO PARTIĘ KACZYŃSKIEGO, LECZ TAKŻE CAŁĄ PRAWICĘ. I TO NA TYLE MOCNO, ŻE PRZYNIOSŁY SUKCES WYBORCZY NAWROCKIEMU.

Opór materii

Najistotniejszym elementem porażki były same zarzuty. Tusk i jego obóz wytworzyli wśród części wyborców obraz gigantycznych nadużyć dokonywanych przez polityków PiS. Mieli oni ukraść dziesiątki, a nawet ponad sto miliardów złotych. Zaufany premiera minister Maciej Berek mówił publicznie, że już tylko w pierwszych tygodniach doliczono się wyprowadzenia miliarda złotych, a to miał być dopiero początek.

Bizancjum miał stworzyć prezes Orlenu Daniel Obajtek, a zaprzyjaźnione z PiS środowiska ciągnąć setki milionów bez żadnych procedur.

Aby sprostać temu obrazowi, prokuratorzy musieli stawiać zarzuty, choćby częściowo odpowiadające skali bezeceństw, których mieli dopuścić się pisowscy ministrowie. Starali się odpowiedzieć na stworzone wrażenie państwa mafijnego, gdzie kwitła korupcja i złodziejstwo na niespotykaną dotąd skalę. Obraz ten jaskrawo rysowały przyjazne rządzącym media, więc początkowo efekt był piorunujący. Jednak tu właśnie zabrakło refleksji von Clausewitza.

Ofensywa musiała ugrzęznąć w bagnie przepisów, procedur i ludzkich charakterów, które – mimo kampanii nienawiści sianej przez internetowe szwadrony Romana Giertycha – nie ugięły się pod presją woli wodza.

Powoli, ale systematycznie w sądach przepadały kolejne stawiane zarzuty, wnioski o areszty czy europejskie nakazy aresztowania. W koszu lądowały wymuszone przez prokuraturę zeznania i bezzasadne wnioski o zajęcie majątków. Wrogowie Tuska wychodzili na wolność i śmiali mu się w twarz. Pokazywali, że nie jest wszechwładny, a nawet nie wydaje się specjalnie groźny.

Nie pomagało odsuwanie na boczny tor niewygodnych sędziów i prokuratorów. Ciągle pojawiają się nowi, na tyle przyzwoici, by prawo i własne sumienie traktować poważnie.

Premier i jego kolejni ministrowie sprawiedliwości przeżywali więc kompromitacje, jedną za drugą. Stać ich było tylko na kolejne groźby, pohukiwania i zapowiedzi, których nikt już nie bierze poważnie. To zaś budzi frustrację wszystkich tych, którzy Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Zbigniewa Ziobrę i innych oczami wyobraźni widzieli już za kratkami. Ich wielkie marzenie się nie spełniło.

Pełne zepsucie

Chińskie przysłowie mówi: „Ten kto szuka odwetu, powinien wykopać dwa groby". Zasada ta obowiązuje nie tylko w życiu prywatnym, ale też politycznym. Chwilowa satysfakcja z poniżenia kilku posłów nie przyniosła wcale trwałej radości tym, dla których życie społeczne nie ogranicza się do wendety. Co więcej, doprowadziło do kompletnej demobilizacji newralgicznego koalicjanta KO, czyli Trzecią Drogę.

Tylko jednostki absolutnie zdeprawowane i zdegenerowane czerpią rzeczywistą przyjemność z nieszczęścia innych osób. Nawet jeśli dotyczy to politycznych przeciwników. Czym innym jest ich pokonać, czym innym upodlić. Tego rodzaju patologiczne zachowania wśród sportowców są potępiane, a nawet karane. W korporacjach podobne osoby uznaje się za toksyczne i się usuwa, gdyż wprowadzając szkodliwe zasady, szkodzą całemu zespołowi.

Dla polityków Koalicji Obywatelskiej poniewieranie pisowców miało być szczytem satysfakcji. Radością, którą można by się upajać, a nawet upijać. W rzeczywistości jednak pozbawiło ich siły do realizacji zadań, których wymaga rządzenie. Dwa i pół roku sprawowania władzy to jedynie stagnacja i zadłużanie państwa. Szef rządu chwali się tylko tym, co zostało rozpoczęte jeszcze w czasie rządów PiS.

eprasa.pl 76d3415895

Przyczyna demobilizacji tkwi w nielubianym w polityce pojęciu, czyli moralności. Stałe przekraczanie jej zasad prowadzi do zniszczenia. Immanuel Kant powiedziałby pewnie, że takim ludziom coraz trudniej żyć z samymi sobą. Być może zresztą jest to sedno sprawy.

Odpowiedzialność za cierpienia innych ludzi, często niewinnych, nie pozostają bez śladu. Trudno przejść do porządku dziennego z próbą samobójczą dziecka prześladowanej urzędniczki czy torturami stosowanymi wobec księdza, który chciał pomagać ofiarom przestępstw. Nawet jeśli zarzuty dotyczące niewłaściwego prowadzenia ksiąg są prawdziwe, to nie usprawiedliwia to traktowania go jak zbrodniarza czy gangstera. A już na pewno systemowego poniżania i odmawiania jedzenia. To wszystko gdzieś się odkłada i prowadzi do upadku.

Przemoc i propaganda

Do tej pory w polityce obowiązywał konsensus, zgodnie z którym najważniejsze jest prawo, a więc odpowiedzialność polityka jest tam, gdzie udowodniono mu winę. Aby go zatrzymać, trzeba było mieć twarde dowody. Jak choćby w przypadku Sławomira Nowaka czy Romana Giertycha.

Ekipa Tuska postanowiła całkowicie zerwać z tą zasadą. Przestępstwo nie musi być dowiedzione, ale domniemane. Chodzi o wrażenie, skandal, odarcie ludzi poprzedniej władzy z godności. Nie są istotne fakty, ale medialno-propagandowa machina, która ma ich przemielić, rozwałkować i złamać.

To patologiczne pojmowanie polityki przyniosło dwa główne, negatywne skutki. Pierwszy to efekt mrożący wśród pracowników administracji państwowej, menedżerów spółek skarbu państwa i części polityków obozu władzy. Żądza zemsty Donalda Tuska i jego zaplecza spowodowała paraliż działalności państwowych instytucji, także tych odpowiedzialnych za dostarczanie dowodów (prawdziwych lub spreparowanych) na polityków PiS. Ze strachu i przyzwoitości nie chcą uczestniczyć w procederze, który za jakiś czas może dotknąć także ich. Cnotą stało się więc niepodejmowanie decyzji, przeciąganie spraw, unikanie wszelkiej odpowiedzialności.

Drugi skutek był jeszcze bardziej dotkliwy dla rządzących. Prześladowani i poniewierani politycy zaczęli budzić więcej sympatii od tych, którzy dzierżą władzę. Utożsamiamy się raczej z tymi, którzy niesprawiedliwość cierpią, niż z tymi, którzy ją zadają.

Nieskuteczność wynikająca z absurdalności zarzutów, którą bez litości obnażają sądy i niezależne od władzy media, powoduje, że władza przestaje być groźna, a staje się groteskowa. Jej zapowiedzi przyspieszenia twardych rozliczeń nie robią już wrażenia ani na politykach opozycji, ani na elektoracie. Ot, kolejna propagandowa zagrywka.

TUSK MIAŁ NADZIEJĘ, ŻE WYSTARCZY MU BRUTALNOŚCI, BY SIŁĄ PODPORZĄDKOWAĆ SOBIE WSZYSTKIE STRUKTURY PAŃSTWA.

Ścieżka w dół

Wbrew temu, co uwielbiają powtarzać specjaliści od marketingu, polityka nie jest grą pozbawioną zasad i moralności. Istotne jest zachowanie balansu między cynizmem i przestrzeganiem ustalonych reguł.

Władza zawsze znacznie lepiej radzi sobie sama ze sobą, ale też łatwiej komunikuje się ze społeczeństwem, gdy realizuje program pozytywny. Jeśli stara się tworzyć, budować, reformować i odpowiadać na oczekiwania społeczne. Mniej czasu i energii musi wówczas spędzać na prowadzeniu działań destrukcyjnych, mających zdestabilizować szeregi przeciwnika.

Tusk wybrał ścieżkę prowadzącą zawsze w dół. Miał nadzieję, że wystarczy mu brutalności, by siłą podporządkować sobie wszystkie struktury państwa. Nawet te cieszące się względną niezależnością. I tu popełnił fundamentalny błąd. Niewielu ludzi opętała taka żądza zemsty, jak jego samego. Dodatkowo nie docenił siły polskiego państwa i tworzących go instytucji. Nawet fala przemocy i korzystanie z usług osiłków nie złamały niezależności myślenia i postępowania ludzi ukształtowanych według zasad wolności.

Nie docenił także przeciwnika. Jego zdolności mobilizacyjnych oraz poparcia zwykłych ludzi. Otoczony oficerami komunistycznych i postkomunistycznych służb zbyt mocno uwierzył w ich siłę i zdolności do dezintegracji przeciwnika. Jakby zapomniał, że komunizm w Polsce przegrał właśnie dlatego, że był pozbawiony wartości. Jego jałowość przestała być atrakcyjna i przyciągała karierowiczów pokroju Włodzimierza Czarzastego.

Żadne kolejne wnioski o uchylenie immunitetów nie przyniosą już zadowolenia fanatycznym zwolennikom Tuska i jego wendety. Dziś, dwa i pół roku po przejęciu władzy i uruchomieniu potężnej machiny nienawiści, są raczej dowodem, że i na tej płaszczyźnie premier poniósł klęskę.

eprasa.pl 76d3415895

KARUZELA Z BLOGERAMI

ROSEMANN

W ZWIĄZKU ZE SPRAWĄ

Bezpośrednią inspiracją do napisania tego tekstu była informacja o czwartym zatrzymaniu w związku ze sprawą fałszywych zgłoszeń, których efektem były wejścia służb do mieszkań: redaktora naczelnego TV Republika i mamy prezydenta Karola Nawrockiego. Przyznam, że nie pamiętam, by do jakiejś wcześniejszej sprawy kryminalnej bardziej pasowało zwyczajowo używane stwierdzenie „w związku ze sprawą". Gdy czyta się szczegóły dotyczące zatrzymań, okazuje się, że tylko jedno z nich może faktycznie dotyczyć serii zawiadomień, których ofiarami stali się ludzie związani z prezydentem i z opozycją. „Związek ze sprawą" pozostałych jest natomiast bardzo luźny, by nie rzec – żaden. Zgodnie z dostępnymi informacjami pozostali zatrzymani, owszem, mają na sumieniu podobne sprawki, ale dotyczą one innego okresu, innych zgłoszeń i innych celów.

Próbując jakoś odtworzyć tak zwany „klucz", według którego służby zatrzymują podejrzanych, nie da się patrzeć na sprawę inaczej jak tylko tak, że odpowiedzialni za nasze bezpieczeństwo łapią każdego, kto jakoś do tego „związku ze sprawą" pasuje, bo w ten sposób tworzą szum informacyjny, który jakoś przykrywa wcześniejsze zarzuty o nieudolność i bezczynność. Zarzuty, które – jak na razie – wcale nie wyglądają na przesadzone.

Pomijając trzech pozostałych zatrzymanych „w związku", warto przypomnieć, że ten jedyny, faktycznie ponoć wiązany z ostatnią falą fałszywych zgłoszeń, jest wręcz ilustracją tej nieudolności i bezczynności. Ma na sumieniu takie wcześniejsze sprawki, przez które nie powinien jeszcze przez długi czas mieć dostępu do środków technicznych, które umożliwiałyby mu dokonywanie przestępstw. Na którymś etapie postępowania z nim i jego dorobkiem sąd (czyli sędzia prowadzący sprawę) uznał, że jego groźby „miały charakter fantazyjny i były oderwane od rzeczywistości", a minister sprawiedliwości uznał, że prokurator, który się nim zajmował, lepiej sprawdzi się gdzie indziej i na niższym szczeblu. Być może dobrze byłoby teraz postawić owego sędziego przed ludźmi, którzy musieli interweniować w związku z tymi wszystkimi zawiadomieniami, by im wyjaśnił, że to były oderwane od rzeczywistości fantazje. Sam minister może też lepiej sprawdziłby się na niższym szczeblu.

Fot. Adobe Stock

Pamiętam pierwsze reakcje ludzi z rządu i związanych z rządzącą ekipą zaraz po wejściu policjantów do mieszkania Tomasza Sakiewicza. Obok chichotu i niesmacznych komentarzy pojawiły się sugestie o potrzebie szukania sprawców na wschód od Polski. O zmasowanym ataku zza wschodniej granicy na „infrastrukturę bezpieczeństwa państwa". Taka wojna hybrydowa. Przyznam, że nawet wolałbym, by potwierdził się ten „rosyjski ślad". Bo choć nie przepadam za obecną władzą, to mnie osobiście boli, gdy uświadamiam sobie, że kilkudniowy chaos, uderzający w instytucje państwa i ludzi z nimi związanych oraz w ogólnokrajowe media, dowodzący kompletnego nieprzygotowania służb odpowiedzialnych za zapobieganie tego typu atakom, został spowodowany nie przez siły wrogiego mocarstwa, tylko przez zapewne jakiegoś wariata, który od dawna był zidentyfikowany i znany ze swoich skłonności.

eprasa.pl 76d3415895

Odcięci od świata

– o wykluczeniu komunikacyjnym w Polsce

Transport jest tą szczególną usługą publiczną, która **umożliwia** korzystanie z innych usług publicznych, takich jak edukacja, ochrona zdrowia, usługi opiekuńcze, a także pozwala na realizację podstawowych potrzeb związanych z zarobkowaniem, zakupami, utrzymywaniem relacji społecznych czy dostępem do kultury.

Maciej Szlinder

Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 76d3415895

Nierówności w dostępie do transportu przekładają się zatem na różne inne wymiary nierówności społecznych. Nierzadko wymuszają one też migracje i powodują przeludnienie jednych obszarów (np. dużych miast), co przejawia się w drastycznie rosnących cenach mieszkań, a wyludnianie innych.

Kronika upadku

Transport zbiorowy padł jedną z głównych ofiar transformacji ustrojowej w Polsce. Od jej początku do dzisiaj zlikwidowano 9 na 10 połączeń autobusowych i wiele linii kolejowych. W III RP inwestowano przede wszystkim w drogi i sprzyjano transportowi samochodowemu. Problem wykluczenia komunikacyjnego (nazywanego też transportowym) od lat jest więc podnoszony jako jeden z głównych i pogłębiających się problemów w Polsce. Pomimo świetnych prac autorów takich jak Karol Trammer czy Olga Gitkiewicz wciąż brakuje nam kompleksowych analiz tego zjawiska. Ten brak próbuje częściowo zasypać opublikowany w tym roku raport zespołu pod kierownictwem prof. dr. hab. inż. Mariusza Izdebskiego z Zakładu Inżynierii Systemów Transportowych i Logistyki Politechniki Warszawskiej.

Ministerstwo Infrastruktury jeszcze za poprzedniego rządu zleciło prace badawcze, które w latach 2021–2025 prowadzili przedstawiciele czterech Politechnik (Gdańskiej, Poznańskiej, Śląskiej i Warszawskiej). Prace te zaowocowały raportem „Analiza skali wykluczenia komunikacyjnego na obszarze Polski wraz z rekomendacjami zmian legislacyjnych w kontekście publicznego transportu zbiorowego". To pierwsza tak szczegółowa analiza tego zjawiska w Polsce.

Wykluczenie komunikacyjne to zjawisko wieloaspektowe. Jak ujmuje to Olga Gitkiewicz, „nie chodzi jedynie o to, że «nic nie jeździ», ale także o warunki – czas dojazdu, częstotliwość, koszty, niezawodność, informację, infrastrukturę, która umożliwia lub ogranicza dotarcie do przystanku". Autorzy raportu przyjęli, że trzeba spełniać przynajmniej jeden z pięciu warunków, by kwalifikować się do bycia osobą wykluczoną transportowo. Pierwszym z nich jest to, jak szybko jesteśmy w stanie dotrzeć do centrum naszej gminy czy powiatu. Jesteśmy wykluczeni, np. jeśli dojazd do siedziby naszej gminy przekracza 45 minut i musimy przesiadać się ponad trzy razy. Po drugie, doznajemy wykluczenia także jeśli musimy daleko chodzić do najbliższego przystanku (np. 900 metrów w mieście). Trzecią kwestią jest liczba połączeń – za absolutne minimum uznano 4 połączenia rano i 4 wieczorem. Wreszcie autorzy raportu wzięli też pod uwagę kwestię spóźnień oraz cen biletów.

W Polsce zjawisko wykluczenia dotyczy 39% punktów adresowych. To znaczy, że taką część Polski stanowią obszary, z których niezwykle trudno się wydostać, a mieszkający tam obywatele mają znacznie trudniej w życiu. Trudno dostać im się fizycznie na przystanek, nie mają dostępu do odpowiedniej informacji dotyczącej transportu, nie stać ich, by zapłacić za bilet albo wydają na transport znaczną część swoich dochodów kosztem realizacji innych podstawowych potrzeb.

Zróżnicowanie geograficzne

Najbardziej zagrożone wykluczeniem transportowym są gminy położone we wschodniej Polsce (szczególnie w województwie lubelskim i podlaskim), na południowych krańcach górskich i podgórskich obszarów Małopolski, Podkarpacia i częściowo Dolnego Śląska (Kotlina Kłodzka), a także na północy w części województwa warmińsko-mazurskiego i pomorskiego.

TRANSPORT ZBIOROWY PADŁ JEDNĄ Z GŁÓWNYCH OFIAR TRANSFORMACJI USTROJOWEJ W POLSCE. OD JEJ POCZĄTKU DO DZISIAJ ZLIKWIDOWANO 9 NA 10 POŁĄCZEŃ AUTOBUSOWYCH.

Gdy spojrzymy jednak na składowe wskaźnika wykluczenia komunikacyjnego, pojawiają nam się dodatkowe informacje. Województwo podlaskie wypada najgorzej w 4 na 5 składowych – tylko w kwestii kosztów przejazdu daje się wyprzedzić województwu lubelskiemu (które we wszystkich pozostałych kwestiach zajmuje niechlubne, drugie miejsce). W porównaniu z resztą Polski bilety są zdecydowanie za drogie także dla mieszkańców województwa lubuskiego, warmińsko-mazurskiego, wielkopolskiego i pomorskiego. Stanowczo zbyt długie czasy dojazdów występują w Lubuskiem i na Mazowszu.

eprasa.pl 76d3415895

To pierwsze województwo boryka się także ze zbyt dużymi odległościami między miejscami zamieszkania a przystankami. Mazowsze zaś zajmuje trzecie miejsce pod względem ryzyka opóźnień. Najrzadziej długie połączenia notuje się w województwie pomorskim i śląskim. Na Pomorzu wielkiego problemu w porównaniu z resztą kraju nie stanowią także zbyt duże odległości od przystanków. Województwo pomorskie i kujawsko-pomorskie wypadają najlepiej pod kątem siatki połączeń i rzadkich opóźnień. Najmniej osób wyklucza się przez ceny biletów w województwie śląskim i kujawsko-pomorskim, a za nimi plasują się województwa: małopolskie, świętokrzyskie i podkarpackie.

Nierówności się nakładają

Problem wykluczenia komunikacyjnego dotyka jednak każdego województwa, a w nim najczęściej terenów o rozproszonej zabudowie, a także tych, które położone są na granicach województw. Z uwagi na rozproszenie kompetencji organizatorów transportu często właśnie tam znienacka kończą się linie autobusowe lub kolejowe. Nawet w województwach o najlepszych wynikach znajdują się gminy, które są „białymi plamami" na mapie transportu zbiorowego. Najwyższy możliwy wskaźnik wykluczenia komunikacyjnego notują np. Sośno i Izbica Kujawska (województwo kujawsko-pomorskie) czy Secemin, Fałków i Kluczewsko w Świętokrzyskiem. Wśród województw o względnie dobrych wynikach nadal całkowicie odciętych od świata jest wiele gmin. W województwie pomorskim jest ich aż 37, w Wielkopolsce 55, w Mazowieckim 42, a na Dolnym Śląsku 28. Oznacza to, że na Pomorzu prawie co trzecia gmina jest całkowicie wykluczona transportowo, a w województwie wielkopolskim prawie co czwarta. Najbardziej dramatycznie jest oczywiście zgodnie z oczekiwaniami w Lubelskiem (79) i na Podlasiu (56). W tym drugim województwie jest to prawie połowa wszystkich gmin.

W bardzo trudnej sytuacji (najwyższe i wysokie wskaźniki) znajduje się aż jedna trzecia polskich gmin. Z drugiej strony mamy prawie jedną czwartą z nich, które są bardzo dobrze skomunikowane. Oznacza to bardzo silną polaryzację w Polsce. Żyjemy w kraju bardzo nierównym pod względem dostępu do transportu, co znacząco pogłębia inne wymiary nierówności społecznych.

Wykluczenie transportowe nie dotyka bowiem wszystkich mieszkańców danego terenu równo. W najgorszej sytuacji są osoby starsze, z niepełnosprawnościami oraz bezrobotne. Dla nich każda złotówka podwyżki, każdy kilometr dalej położonego przystanku, każdy niedostosowany pojazd czy skasowane połączenie może oznaczać odcięcie od świata. Lepiej radzą sobie pracujący dorośli i uczniowie szkół podstawowych. Ci ostatni podlegają ustawowemu nakazowi nałożonemu na wszystkie gminy, by zapewnić dowóz dzieci do szkół. Nie dotyczy on już jednak szkół ponadpodstawowych, a z raportu UNICEF wynika, że co piąte polskie dziecko wybrałoby inną szkołę średnią, gdyby tylko mogło do niej dojechać.

Ministerstwo Infrastruktury szacuje, że wykluczenie komunikacyjne dotyka ok. 10 milionów osób w całym kraju. W 2018 r. Klub Jagielloński szacował, że jest ich więcej, bo 13,8 mln. W 2023 roku na Forum Rozwoju Mazowsza Iwona Budych, prezes Stowarzyszenia Wykluczenie Transportowe, powiedziała, że zbliżamy się już do 15 mln. Bez względu jednak na to, kto ma tutaj rację, jasne jest, że 4 na 10 polskich gmin i od 27 do 40% Polek i Polaków odcinamy od reszty Polski, nie zapewniając im dostępu do transportu zbiorowego.

W POLSCE ZJAWISKO WYKLUCZENIA DOTYCZY 39% PUNKTÓW ADRESOWYCH. TO ZNACZY, ŻE TAKĄ CZĘŚĆ POLSKI STANOWIĄ OBSZARY, Z KTÓRYCH NIEZWYKLE TRUDNO SIĘ WYDOSTAĆ.

Konieczne zmiany

Jakie rozwiązania proponuje raport czterech politechnik? Brakowi dostępnej informacji ma zaradzić wprowadzenie obowiązku publikowania cyfrowych rozkładów jazdy. W oparciu o te rozkłady województwa powinny tworzyć plany transportowe. Autorzy sugerują też przekształcenie dodatkowych środków na walkę z wykluczeniem komunikacyjnym, regulacje przyjmujące minimalną częstotliwość kursowania dla transportu regularnego, a także wprowadzenie transportu na życzenie na terenach, na których transport regularny byłby zbyt kosztowny.

eprasa.pl 76d3415895

Ponadto na podstawie analizy systemów komunikacji publicznej w innych krajach europejskich autorzy raportu rekomendują m.in. wprowadzenie obowiązku wyposażania pojazdów w lokalizatory GPS (dzięki czemu możliwe jest ich śledzenie), tworzenie ogólnopolskich lub wojewódzkich baz rozkładów jazdy, a także stworzenie zintegrowanego systemu taryfowo-biletowego w całym kraju z jednolitym zbiorem ulg w transporcie kolejowym, autobusowym i miejskim.

Zdaniem Ministerstwa Infrastruktury zawarte w raporcie rekomendacje zostały uwzględnione w przygotowywanej nowelizacji ustawy o publicznym transporcie zbiorowym oraz ustawy o Funduszu Rozwoju Przewozów Autobusowych (FRPA). Ustawa budzi jednak szereg wątpliwości samorządowców, przewoźników i ekspertów, które zostały wyrażone w marcu na posiedzeniu Parlamentarnego Zespołu ds. Walki z Wykluczeniem Transportowym poświęconym właśnie temu projektowi nowelizacji. Podnoszono m.in. problem braku waloryzacji dopłaty do wozokilometra z FRPA (niezmienianej od 2020 r.), kwestie braku jasnych zasad działania transportu na żądanie oraz trudności w organizacji połączeń na granicach województw. Niestety na powyższe wątpliwości nie doczekano się odpowiedzi, ponieważ po raz pierwszy w historii zespołu nie uczestniczył w nim żaden przedstawiciel Ministerstwa Infrastruktury.

Przewodnicząca Zespołu, a jednocześnie od kilku lat najbardziej rozpoznawalna obrończyni transportu zbiorowego wśród polskich polityków, Paulina Matysiak, podnosiła też propozycję zerowego VAT na transport publiczny. Ta była członkini partii Razem, a obecnie posłanka niezależna, wskazywała, że postulat znajdował się wśród wyborczych 100 konkretów obiecywanych przez Koalicję Obywatelską. Obniżenie podatku VAT zmniejszyłoby ceny biletów, a tym samym zwiększyło dostępność ekonomiczną publicznego transportu zbiorowego. Jeszcze dalej poszła Hiszpania, która od kilku lat dofinansowuje przejazdy, a także (od 2024 r.) bilety miesięczne i kwartalne. Na przykład ten powołuje się raport zlecony przez Ministerstwo Infrastruktury, więc można by oczekiwać, że podobne dotacje lub przynajmniej zmniejszenie obciążenia podatkowego jest poważnie rozważane przez rząd.

Z RAPORTU UNICEF WYNIKA, ŻE CO PIĄTE POLSKIE DZIECKO WYBRAŁOBY INNĄ SZKOŁĘ ŚREDNIĄ, GDYBY TYLKO MOGŁO DO NIEJ DOJECHAĆ.

Jednak warto zachować tu należytą ostrożność w budowaniu oczekiwań, szczególnie po próbach uderzenia przez rząd w transport autobusowy za pomocą tzw. ustawy „PKS Plus". Do wstępnie niezłej nowelizacji rządzący wprowadzili po cichu zapis o skróceniu okresu obowiązywania umów z FRPA z dziesięciu do trzech lat. Zdaniem Matysiak „to cios w stabilność transportu publicznego". Skutkiem byłoby zmniejszenie liczby połączeń i pogorszenie oferty dla pasażerów. Byłoby, ponieważ na szczęście ustawę zawetował prezydent Karol Nawrocki, przychylając się do krytyki ekspertów, w tym właśnie Matysiak.

Poważna choroba – poważny lek, czy zostanie przepisany?

Autorzy raportu wskazują jasno, że „wykluczenie komunikacyjne w Polsce ma dziś charakter strukturalny, a jego przełamanie wymaga skoordynowanego wzmocnienia finansowego, kadrowego i organizacyjnego całego systemu transportu zbiorowego". Oznacza to, że bez znaczącego zwiększenia środków nie uda się zmniejszyć tego problemu. A wykluczenie transportowe to nie tylko łamanie praw i pogarszanie jakości życia Polek i Polaków, ale także utrata ich możliwości rozwoju i realizacji potencjału. Jeśli młoda dziewczyna wybiera nie tę szkołę, w której najlepiej rozwinie swoje kompetencje, a tę, do której da radę dotrzeć, to w przyszłości te kompetencje będzie miała mniejsze ze szkodą dla siebie i całego społeczeństwa. Jeśli chory nie dojedzie do lekarza na profilaktyczną wizytę, to potem ratowanie jego zdrowia może być znacznie kosztowniejsze. Jeśli ktoś wybiera gorszą pracę, bo nie może dojechać do tej wymarzonej, to na jego mniejszym entuzjazmie i wydajności pracy tracimy wszyscy. Inwestycje w transport to inwestycje w ludzi, a nie zwyczajne koszty. Ale czy tę logikę będzie w stanie przyjąć rząd, który rozumie zarządzanie budżetem państwa analogicznie do zarządzania budżetem gospodarstwa domowego, a do tego atakowany jest z wewnątrz własnej koalicji, a z zewnątrz przez prawicową część opozycji i instytucje unijne za nadmierny deficyt? Można w to wątpić.

eprasa.pl 76d3415895

SŁOWEŃSKI powiew nostalgii

Hanna Szymerska

Słowenia, licząca 2,1 miliona mieszkańców, ma to do siebie, że prawie nigdy nie pojawia się w zbiorowej świadomości Polaków sama. Turystyka? Tanich lotów do Lublany nie ma, najbliżej jest dolecieć do Triestu i wsiąść w busa. Inaczej sprawa wygląda, gdy jedziemy autem; wtedy zazwyczaj naszym celem jest chorwackie wybrzeże i rzeczywiście chwilę nomen omen postoimy w jaskini w Postojnej. Ale wbrew pozorom pomijania kraju, a raczej podjadania jego potencjału przez sąsiadów, turystyką Słowenia żyje. To może historia? Zamek w Lublanie w 1848 r. stał się więzieniem dla Lajosa Batthyányego, pierwszego premiera Węgier, a na początku XX w. przywitał kolejnych więźniów, którzy podpadli Habsburgom. A może wybiła się jakoś na tle Jugosławii? Mało kto wie, że był to najbardziej uprzemysłowiony region kraju, którego PKB na pewnym etapie wynosiło dwuipółkrotność PKB całej reszty. Być może przez bogactwo kraju umyka nam fakt, że tu także rozgorzała w latach dziewięćdziesiątych wojna, chociaż trwała jedynie kilka dni i nie doprowadziła do dantejskich scen, które znamy z Serbii i Bośni. A zresztą, jeśli ktoś interesuje się Jugosławią albo przynajmniej chce kupić kolejny kiczowaty gadżet z wizerunkiem Josipa Broz Tity, może udać się dalej na południowy wschód. Nawiasem mówiąc, Słowenia jako „sama w sobie Słowenia" jest mało znana i niewiele nagłówków w polskich mediach zostało jej poświęconych. A niesłusznie.

Dziedzictwo narodzin niepodległej Słowenii

Nie w takich bólach jak pozostałe kraje byłej Jugosławii rodziła się niepodległa Słowenia. Wojna trwała krótko, nie polała się praktycznie krew niewinnych, a i kraj szybko podjął się prób integracji z Zachodem. W 2004 r. Słowenia wchodzi do NATO (29 marca wraz z krajami bałtyckimi, Bułgarią, Rumunią i Słowacją) i UE (wraz z Polską w ramach największego z rozszerzeń). Od początku lat dziewięćdziesiątych państwo postawiło zdecydowanie na integrację z państwami Starej Unii, zwłaszcza z Austrią, która przez kilkaset lat panowania Habsburgów stanowiła dla narodu pewien punkt odniesienia. Z tych doświadczeń wynikło głębokie powiązanie państw pod względem gospodarczym: Austria do dzisiaj jest największym inwestorem na Słowenii oraz jednym z jej najważniejszych partnerów gospodarczych; zacieśniana jest również regionalna współpraca

Fot. Adobe Stock

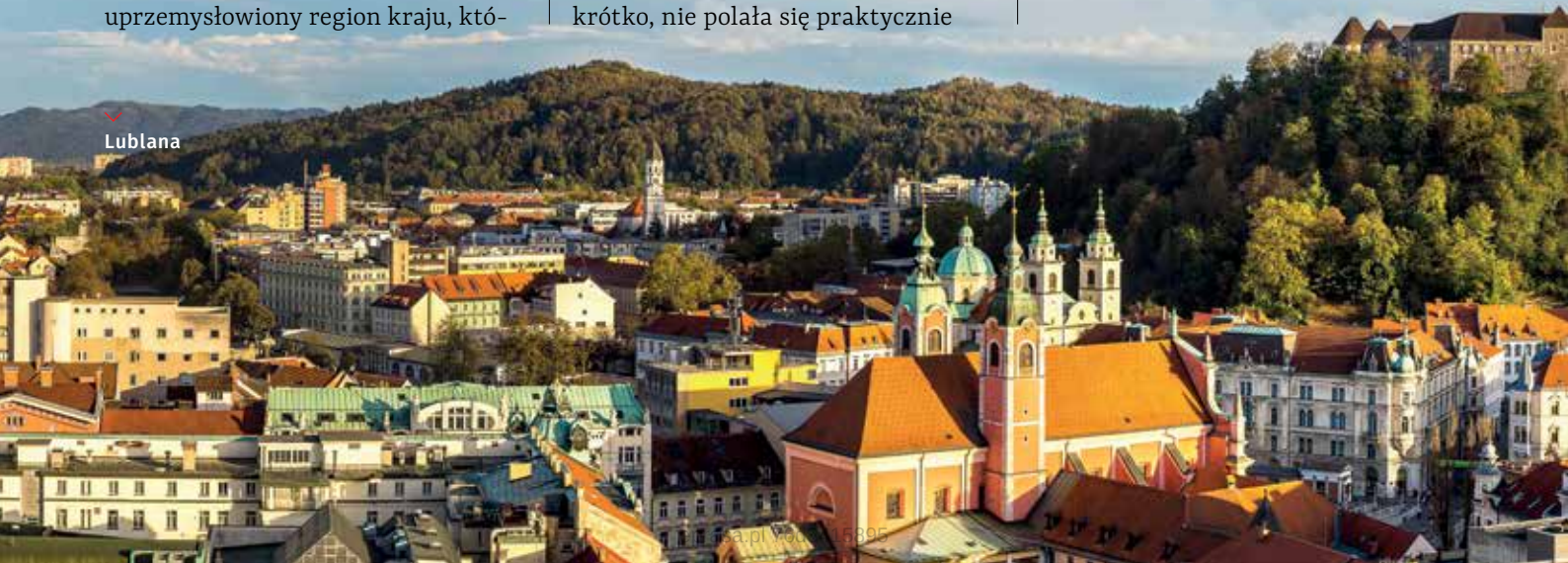

Lublana

między krajami. Na kształt niepodległego państwa miała wpływ również zamożność społeczeństwa oraz sama w sobie słoweńska scena polityczna. W momencie, w którym narodziło się niepodległe państwo, nie polała się krew, nikt nie rozliczył komunistów, a ci płynnie przybrali przedrostek post- i kontynuowali działalność polityczną. Nie było pokazowych procesów ani tym bardziej dojścia do sprawiedliwości. Był jedynie nowy czerwony szyld z białymi literami: „Socialni demokrati", pod którym zebrali się kontynuatorzy Związku Komunistów Słowenii. Pierwszym prezydentem niepodległego państwa został Milan Kučan, były działacz komunistyczny, a następnie symbol płynnego przejścia do nowej rzeczywistości. Podczas jedenastu lat rządów zbudował podwaliny pod kształt dzisiejszej Słowenii, jednocześnie nie rozwiązując problemów typowych dla przeobrażeń po poprzednim ustroju. Owszem, wskaźniki gospodarcze wzrastały (niespektakularnie acz stabilnie o około 3% rocznie), natomiast nikt nie postawił przed sądem niegdysiejszej nomenklatury, czego symbolem jest sam w sobie budynek partii SD, ten sam od czasów Broz Tity. Jak to nierzadko bywa, postkomuniści ubrali się w szaty progresywne i internacjonalistyczne: po latach starań i przygotowań w 2007 r. Słowenia weszła do strefy euro, przez lata uchodziła również za najbardziej postępowy kraj regionu, czego symbolem może być wprowadzenie przez centrolewicowy rząd w 2017 r. małżeństw homoseksualistów; premierem był wówczas Miro Cerar, liberał pozostający w koalicji z SD. Obecnie mamy do czynienia z unijnym liderem liberalnie pojmowanej równości, którego symbolem mogłyby być adopcje dzieci przez homoseksualistów wprowadzone rękami Trybunału Konstytucyjnego w październiku 2022 r. czy też samozwańcze tytuły najbardziej ekologicznych miast. Słoweńcy też co do zasady (poza kwestią unijnej polityki migracyjnej i szczelności granic) są zadowoleni z członkostwa w UE. Czyżby wszyscy żyli liberalnie i szczęśliwie? Czy to już słoweński koniec historii? Zupełnie nie.

AUSTRIA DO DZISIAJ JEST NAJWIĘKSZYM INWESTOREM NA SŁOWENII ORAZ JEDNYM Z JEJ NAJWAŻNIEJSZYCH PARTNERÓW GOSPODARCZYCH.

Stabilna niestabilność rządów Janeza Janšy

W dawnych czasach bywało tak, że ktoś bywał premierem kilkukrotnie, ale praktycznie nigdy z rzędu. Stare tendencje na Słowenii nie umarły, a najlepszym dowodem ich rezurekcji jest postać Janeza Janšy, lidera Słoweńskiej Partii Demokratycznej (SDS), słoweńskich centroprawicowców. Ów trzykrotny premier (2004–2008; 2012–2013; 2020–2022) po raz kolejny doczekał się powrotu do pełnionej niegdyś funkcji. Janša jest politykiem nie tylko doświadczonym, lecz również przenikliwym, momentami antysystemowym. Retoryka Słoweńskiej Partii Demokratycznej przez lata opierała się na krytyce najpierw jawnych postkomunistów, a następnie szeroko pojętej lewicy europejskiej i liberałów. Sam Janša pod koniec lat osiemdziesiątych został aresztowany z powodów politycznych, a następnie uwolniony po protestach opozycjonistów antykomunistycznych. O ile SDS początkowo nie było partią stricte prawicową (a bardziej można by było wpisać ją w typowy dla państw postkomunistycznych „antysystemowy liberalizm" i porównać SDS do Fideszu z lat dziewięćdziesiątych), o tyle do tych poglądów też obóz musiał

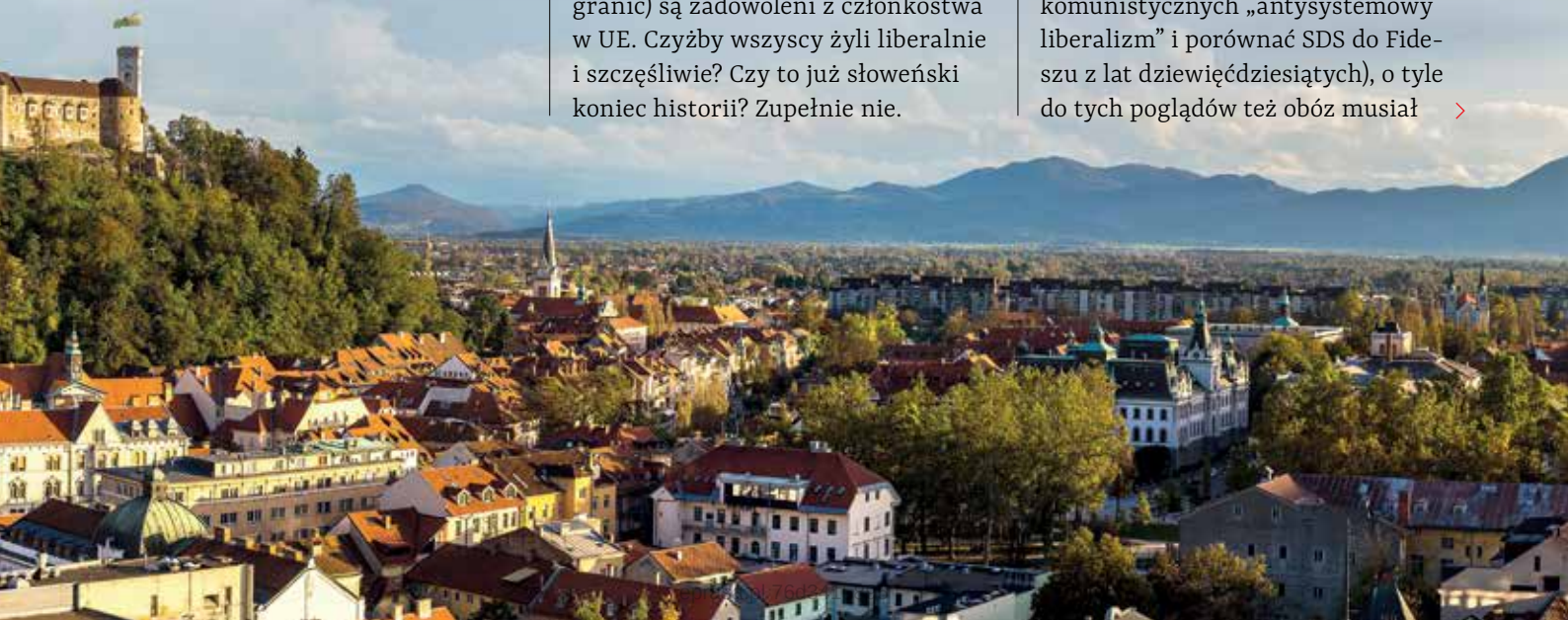

dojrzeć. W pierwszej kadencji Janšy politykę gospodarczą oddano w ręce Unii Europejskiej: rok po wejściu kraju do strefy euro w 2007 roku nastąpił globalny kryzys. Warunkiem udzielenia przez UE zgody na pomoc państwa dla firm i banków nieradzących sobie z sytuacją były cięcia. Janša ten cyrograf podpisał. Prywatyzowano, cięto, likwidowano świadczenia socjalne, reformowano system emerytalny, redukowano płace w państwówce. Zapłacili Słoweńcy, zapłacił ostatecznie i Janša, żegnając się ze stanowiskiem. Trudno powiedzieć, czy był to moment, w którym zaliczył woltę ideową, ale jeśli spojrzymy na Janšę z drugiej dekady XXI wieku, mamy przed oczami już zupełnie inną osobę. Druga kadencja premiera jest krótka, ale zaraz po niej następuje jedno z najważniejszych wydarzeń dla współczesnej Słowenii: kryzys migracyjny, podczas którego Słoweńcy stają się zakładnikami geografii i unijnej polityki. Przez kraj przemierza ponad 360 tysięcy nielegalnych przybyszy z państw Bliskiego Wschodu i Afryki. Zwiększa się także liczba przestępstw. W chwili, w której Janša dochodzi do władzy w 2020 r., dalej kilkanaście tysięcy imigrantów rocznie (!) próbuje przekroczyć nielegalnie granicę słoweńską. Samo jego dojście do władzy zasługuje na uwagę: wykorzystuje wszak spory po stronie liberalno-lewicowej i wchodząc w koalicję z chadecją z Nowej Słowenii, centrystami z Partii Nowoczesnego Centrum (na wieść o koalicji z Janšą jej założyciel Miro Cerar opuścił swoje ugrupowanie) i partią emerytów. Jak to nierzadko w tym regionie bywa, gdy wygrał populista, pierwszymi krytykami rządu, który jeszcze nawet nie został wówczas zaprzysiężony, były liberalne media, także te zagraniczne. Dało się usłyszeć i polskie echa o „drugim Orbánie", „wydaniu walki Unii Europejskiej", „ksenofobii" i „obrażaniu elit medialnych". Chciałoby się powiedzieć: „Nihil novi sub liberalis sole"; podobne odgłosy dało się usłyszeć przy okazji wygranej Roberta Ficy, Viktora Orbána, Andreja Babiša, Prawa i Sprawiedliwości...

W 2007 R. SŁOWENIA WESZŁA DO STREFY EURO, PRZEZ LATA UCHODZIŁA RÓWNIEŻ ZA NAJBARDZIEJ POSTĘPOWY KRAJ REGIONU.

Liberalizm i antyliberalizm

Po Janšie przyszedł Robert Golob z liberalnego Ruchu Wolności; nowy premier wszedł w koalicję z lewicą z SD oraz ze skrajnie lewicową partią, Levicą popieraną przez marksistowskiego filozofa Slavoja Žižka, słynącą z krytyki zbrojeń, ekstremistycznych wystąpień działaczy, posługiwania się symboliką otwarcie komunistyczną, a nawet postulowania wyjścia z NATO. Jego rządy upłynęły pod znakiem nieudanej technokracji, skrajnego liberalizmu obyczajowego oraz atmosfery skandali medialnych związanych głównie z niejasnym wsparciem dla przychylnych liberałom mediów oraz wpływaniem partii na przekaz serwowany przez czwartą władzę. Do tego dochodziła kwestia powiązań prywatnych przedsiębiorstw z ówcześnie rządzącą ekipą. W 2026 r. Janša powrócił do władzy w zasadzie szczęśliwym przypadkiem. Same w sobie wyniki wyborów były bardzo wyrównane, a kampania szalenie agresywna: rosła polaryzacja w społeczeństwie, obie strony obrażały przeciwników w sposób niedopuszczalny dla kulturalnej debaty publicznej, przy czym z oczywistych przyczyn liberałowie znajdowali się w znacznie wygodniejszej pozycji jako ulubieńcy mitycznego salonu. SDS miał za sobą z kolei słowa poparcia ze strony zagranicznych prawicowców, zwłaszcza jeszcze-sprawującego-urząd premiera Viktora Orbána i innych polityków silnie związanych z europejskim naśladownictwem (a może i odnogą?) ruchu MAGA. Sam w sobie Janša wszak bardzo pozytywnie odnosił się zarówno do byłego premiera Węgier, jak i do Donalda Trumpa (któremu nawet przedwcześnie gratulował zwycięstwa w 2020 roku, a następnie stał się pośmiewiskiem liberalnych mediów jako ten, który nie poczekał do oficjalnych wyników

PODCZAS KRYZYSU MIGRACYJNEGO SŁOWEŃCY STALI SIĘ ZAKŁADNIKAMI GEOGRAFII I UNIJNEJ POLITYKI.

eprasa.pl 76d3415895

i się pomylił). W przeciwieństwie jednak do Fideszu (i na dobrą sprawę wszystkich sił politycznych na Węgrzech) SDS z Janšą na czele wprost deklaruje poparcie dla walczącej Ukrainy i deklaruje je od samego początku pełnoskalowego konfliktu. Już w 2022 r. domagał się zaostrzenia kursu wobec Rosji, obwiniał również Niemcy za zbyt spolegliwą politykę wobec Federacji Rosyjskiej i brak dostatecznego wsparcia dla obrońców. Do tego doszedł aspekt militarny: SDS zamierza zwiększyć nakład na zbrojenia (nawet do 5%, krytykując liberalne 2–3% jako za małe i nieodpowiednie do naszych czasów), pojawiają się nawet głosy o obowiązkowej służbie wojskowej. Warto zaznaczyć, że sam Janez Janša miał doświadczenie na stanowisku ministra obrony narodowej w pierwszym niepodległym rządzie oraz podczas dziesięciodniowej wojny w 1991 roku.

Czyja będzie Słowenia?

Od upadku „austrowęgierskiej wiedźmy", mówiąc starymi propagandowymi hasłami, minęło 108 lat. Od uzyskania niepodległości Słowenii prawie 35 lat, pod koniec czerwca minie rocznica. Nostalgie za tym czy innym narzuconym systemem nie definiują już Słowenii tak mocno, jak mogłoby się zdawać. Na miejsce nierozliczonych postkomunistów weszły rosnące koszty życia, kryzys migracyjny i stopniowa utrata suwerenności na rzecz UE, opiewana przez liberalne media. Czasy się zmieniły, a i słoweńscy politycy dopasowali się mniej więcej do nowych warunków i nowych problemów. Pewien powiew wspomnień może w nas wywoływać wpływ przeszłości na słoweńską rzeczywistość, jak choćby powiązanie kraju z Austrią czy też same w sobie cykliczne powroty do władzy tych samych twarzy. Słowenia będzie krajem, w którym podobnie jak w innych państwach regionu zobaczymy jasny konflikt między stroną liberalną a nieliberalną. Być może jest to pewnym znakiem naszych czasów. Czyja więc będzie Słowenia? Jaka ona będzie? Przed nowym rządem stoją i stare, i nowe wyzwania: nierozwiązane sprawy z przeszłości, ciągłe ataki mediów, uzależnienie handlowe od sąsiada, zwaśnienie z liberalnymi elitami UE oraz sama w sobie polaryzacja społeczna, którą trudno jest zażegnać jako strona konfliktu. Czy da się cokolwiek z tych rzeczy rozwiązać w ciągu czterech lat (a patrząc na nierzadkie w słoweńskiej polityce skracanie kadencji, może i mniej)? Pozostawiam czytelnika z tym pytaniem, chociaż chciałabym doświadczyć pozytywnego zaskoczenia. Jeżeli jednak mamy powiedzieć, co jako Polacy możemy zauważyć na przykładzie Słowenii, to jest to właśnie narastający konflikt między stroną liberalną i nieliberalną, który podobnie jak nad Drawą staje się wyznacznikiem kształtu sceny politycznej w innych państwach regionu, choćby na Słowacji i w Czechach. Ta wojna pozycyjna, w którą angażują się coraz to nowe podmioty z organizacjami międzynarodowymi, mediami, NGO'sami i ideologicznymi „międzynarodówkami" na czele, będzie definiująca w następnych dekadach. I jest to bardzo niejednoznaczna wizja.

NARASTAJĄCY KONFLIKT MIĘDZY STRONĄ LIBERALNĄ I NIELIBERALNĄ STAJE SIĘ WYZNACZNIKIEM KSZTAŁTU SCENY POLITYCZNEJ W INNYCH PAŃSTWACH REGIONU.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ

eprasa.pl 76d3415895

KULTURA

Czytaj też:
„Gierek” po latach 36
Swój własny krzyż 40
Bóg w komiksie 44
Kobieta rycerz 46

Moim pierwszym studiem nagraniowym była... PRALKA

– Nie interesuje mnie tworzenie muzyki wyłącznie pod algorytmy czy chwilowe trendy. Oczywiście chcę, żeby moje utwory trafiały do ludzi. Chcę być słuchana. Ale jednocześnie zależy mi na tym, żeby za każdą piosenką stały prawdziwa emocja i prawdziwa historia. Jeżeli po latach wrócę do swoich utworów i nadal będę mogła powiedzieć: „Tak, to jestem ja”, wtedy uznam, że była to dobra droga – mówi **Marcella**, wokalistka, autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Malwina Jucewicz

eprasa.pl 76d3415895

Po latach poszukiwań własnego brzmienia Marcella odnalazła swój azyl w **alternatywnym popie.** Jej twórczość to intymna odskocznia od codzienności – miejsce na artystyczne wyżycie się i osobiste domykanie trudnych rozdziałów. To przestrzeń, w której muzyka staje się językiem emocjonalnej niezależności, konsekwentnie budując świat, w którym wrażliwość idzie w parze z siłą.

– Patrząc na Ciebie, trudno uwierzyć, że jednym z najważniejszych słów opisujących Twój najnowszy singiel jest właśnie „mur". Jesteś osobą bardzo otwartą, pogodną, pełną energii. Skąd więc taki tytuł?

– Myślę, że właśnie dlatego ten tytuł może być dla wielu osób zaskakujący. Na co dzień jestem osobą bardzo otwartą. Lubię ludzi, rozmowy, lubię śmiać się i poznawać nowe osoby. Pracuję zawodowo poza branżą muzyczną, więc codziennie funkcjonuję w środowisku, które wymaga kontaktu z innymi ludźmi, komunikacji i pewnej lekkości w obyciu. Jednak każdy człowiek ma też swoją drugą stronę. Są rzeczy, których nie pokazujemy od razu, emocje, które przeżywamy w samotności. Kiedy wracam do domu i zostaję sama ze sobą, wracają również doświadczenia, które mnie ukształtowały. „Mur" jest właśnie o tym. O mechanizmie obronnym, który pojawia się po rozczarowaniach, szczególnie tych związanych z uczuciami. Nie jest to mur budowany przeciwko ludziom. Bardziej przeciwko bólowi. To taka zbroja, która narasta stopniowo. Czasem nawet nie zauważamy momentu, w którym zaczynamy ją nosić. Dopiero później orientujemy się, że coraz trudniej nam zaufać, otworzyć się albo uwierzyć w dobre intencje drugiej osoby. Dla mnie ten utwór był próbą nazwania czegoś, co dojrzewało we mnie od dłuższego czasu. To nie jest historia wymyślona na potrzeby piosenki. Wręcz przeciwnie. To jedna z najbardziej osobistych rzeczy, jakie napisałam.

NIE MYŚLĘ O KARIERZE JAK O WYŚCIGU. BARDZIEJ JAK O PODRÓŻY.

– W Twojej historii ciekawe jest to, że funkcjonujesz jednocześnie w dwóch światach. Z jednej strony muzyka, z drugiej codzienna praca zawodowa.

– Tak i przez długi czas zastanawiałam się, czy to jest wada, czy zaleta. Dzisiaj wiem, że ogromna zaleta. Muzyka jest moją największą pasją. To przestrzeń, w której mogę mówić własnym głosem i opowiadać historie, które są dla mnie ważne. Ale jednocześnie bardzo cenię sobie fakt, że mam również życie poza muzyką. Dzięki temu zachowuję równowagę. Nie budzę się codziennie z myślą, że od liczby odtworzeń zależy moje być albo nie być. Nie tworzę pod presją. Praca daje mi poczucie stabilizacji, ale daje mi też coś jeszcze. Dystans. Kiedy wychodzę ze studia i wracam do codziennych obowiązków, mogę spojrzeć na swoją twórczość z zupełnie innej perspektywy. To bardzo zdrowe. Myślę też, że dzięki temu nie straciłam tej dziecięcej radości z muzyki. Ona nadal jest dla mnie czymś wyjątkowym, a nie wyłącznie zawodowym obowiązkiem.

– Ta dziecięca radość przyszła bardzo wcześnie.

– Bardzo wcześnie. Śmieję się czasami, że moim pierwszym profesjonalnym studiem nagraniowym była... pralka. Jako mała dziewczynka wracałam z przedszkola, wkładałam głowę do bębna i śpiewałam. Byłam zachwycona pogłosem. Oczywiście wtedy nie wiedziałam jeszcze, czym jest akustyka, rezonans czy przestrzeń dźwięku. Wiedziałam tylko, że ten dźwięk brzmi tam pięknie i że sprawia mi to ogromną radość.

Później były: szkoła muzyczna, skrzypce, pierwsze występy, kolejne etapy edukacji. Muzyka była obecna właściwie przez całe moje życie. Nigdy nie było momentu, w którym naprawdę z niej zrezygnowałam.

– Chociaż droga, którą wybrałaś, była dosyć nietypowa.

– Bardzo nietypowa. Bo tak naprawdę przez wiele lat kształciłam się jako wokalistka klasyczna, podczas gdy sercem byłam gdzieś zupełnie indziej. Po ukończeniu pierwszego stopnia szkoły muzycznej długo szukałam swojego miejsca. Później trafiłam do szkoły muzycznej drugiego stopnia na śpiew klasyczny. Z założeniem, że zostanę tam może rok. Ostatecznie zostałam cztery lata. Następnie przyszły studia w Gdańsku, również związane ze śpiewem klasycznym. Potem Wrocław i studia magisterskie. Łącznie uzbierało się wiele lat edukacji opartej na klasyce. Jestem za to bardzo wdzięczna. Ten warsztat zostanie ze mną na zawsze. Nauczył mnie dyscypliny, pracy z głosem i świadomości własnych możliwości. Jednak przez cały ten czas wiedziałam, że nie odnajduję się w tym świecie emocjonalnie. Podziwiałam go, szanowałam, ale nie czułam, że to jest miejsce, w którym mogę być sobą. Cały czas pisałam własne teksty, słuchałam muzyki rozrywkowej i marzyłam o tym, żeby tworzyć rzeczy autorskie.

eprasa.pl 76d3415895

– W pewnym momencie pojawiła się również Marcella.

– Tak. Marcella była dla mnie symbolem nowego początku. Wcześniej tworzyłam pod własnym imieniem i nazwiskiem. Te utwory były niszowe, liryczne, czasami wręcz introwertyczne. Z czasem zaczęłam myśleć o muzyce, która zachowa emocjonalną głębię, ale będzie bardziej komunikatywna dla słuchacza. Nie chciałam rezygnować z ważnych tematów. Nadal zależy mi na tekście, na autentyczności. Chciałam jednak znaleźć formę, która pozwoli tym historiom dotrzeć do większej liczby ludzi. Marcella jest właśnie efektem tych poszukiwań.

– W Twojej historii był również bardzo trudny moment związany ze zdrowiem, kiedy to straciłaś głos.

– Tak i myślę, że to był jeden z tych momentów, które naprawdę weryfikują człowieka. Kiedy przez całe życie śpiewasz, kiedy muzyka jest czymś absolutnie naturalnym, nagle okazuje się, że nie możesz robić tego tak, jak wcześniej. Pojawiły się guzki na strunach głosowych. Na szczęście były na tyle niewielkie, że udało się uniknąć operacji, ale sam fakt usłyszenia diagnozy był bardzo trudny.

W takich momentach człowiek zaczyna zadawać sobie pytania, których wcześniej nie dopuszczał do świadomości. Co się stanie, jeśli nie będę mogła śpiewać? Co się stanie, jeśli tego wszystkiego, na co pracowałam przez tyle lat, nie będę mogła kontynuować?

Dzisiaj patrzę na to z wdzięcznością, bo sytuacja została opanowana. Miałam jonoforezę, rehabilitację głosu, wykazałam dużo cierpliwości i dyscypliny. Jednak wtedy było to bardzo stresujące doświadczenie. Myślę też, że nauczyło mnie większego szacunku do własnego instrumentu. Wokalista nie może wymienić głosu jak gitarzysta struny. Głos jest częścią nas. Trzeba o niego dbać nie tylko technicznie, ale również psychicznie.

NIE BUDZĘ SIĘ CODZIENNIE Z MYŚLĄ, ŻE OD LICZBY ODTWORZEŃ ZALEŻY MOJE BYĆ ALBO NIE BYĆ. NIE TWORZĘ POD PRESJĄ.

– Mimo wielu lat edukacji klasycznej cały czas wracałaś do muzyki rozrywkowej.

– Tak, bo właśnie tam odnajdywałam siebie. Bardzo szanuję klasykę. Jestem wdzięczna wszystkim profesorom, którzy mnie prowadzili. To byli fantastyczni pedagodzy i wspaniali ludzie. Natomiast zawsze miałam poczucie, że mój sposób opowiadania historii jest inny.

Uwielbiam pisać teksty i mówić własnym głosem o własnych doświadczeniach. W muzyce klasycznej wykonujemy dzieła wielkich kompozytorów i interpretujemy ich emocje. W muzyce autorskiej mogę opowiedzieć własną historię. To jest dla mnie ogromna różnica.

CHCĘ TWORZYĆ MUZYKĘ OPARTĄ NA EMOCJACH I DOBRYCH TEKSTACH.

Myślę też, że jestem osobą bardzo współczesną w swoim sposobie komunikacji. Interesuje mnie to, jak ludzie przeżywają relacje, samotność, bliskość, zagubienie, jak poszukują własnej tożsamości. Muzyka rozrywkowa daje mi przestrzeń, żeby o tym mówić.

– Napisałaś pracę magisterską dotyczącą pop opery.

– Tak. To był temat, który bardzo mnie fascynował. Interesowało mnie, w jaki sposób artyści łączą warsztat klasyczny z muzyką popularną. Takich przykładów jest przecież wiele. Andrea Bocelli, Sarah Brightman czy różne projekty crossoverowe pokazują, że te światy nie muszą się wykluczać.

Zresztą nawet Freddie Mercury bardzo często korzystał z rozwiązań charakterystycznych dla muzyki klasycznej. To pokazuje, że granice między gatunkami bywają znacznie bardziej płynne, niż nam się wydaje. Natomiast sama nie czuję potrzeby budowania swojej tożsamości wyłącznie na takim połączeniu. Klasyka jest moim fundamentem, ale nie chciałabym, żeby była jedynym elementem definiującym moją twórczość.

– Przejdźmy do „Muru". To utwór, który dojrzewał wyjątkowo długo.

– Zdecydowanie. Sam tekst powstał bardzo szybko, natomiast późniejsza droga była długa. Przez ponad dwa lata pracowaliśmy nad tym utworem wspólnie z Leszkiem Biolikiem. Dzisiaj mogę powiedzieć, że był to bardzo cenny proces. Oczywiście, jak każdy artysta, chciałabym czasem wszystko zrobić szybciej. Wypuścić piosenkę od razu po jej napisaniu i przejść do kolejnej. Ale życie pokazuje, że niektóre rzeczy potrzebują

eprasa.pl 76d3415895

czasu. W trakcie pracy nad „Murem” sama dojrzewałam. Zmieniało się moje spojrzenie na tę historię i na samą siebie. Dzięki temu, kiedy utwór ostatecznie ujrzał światło dzienne, miałam poczucie, że jest dokładnie taki, jaki powinien być.

– W materiałach dotyczących Twojej twórczości pojawia się określenie „jakościowy pop”. Co ono dla Ciebie oznacza?

– Wbrew pozorom nie jest to określenie związane z jakąś konkretną estetyką. Dla mnie jakość oznacza przede wszystkim uczciwość wobec samej siebie. Nie interesuje mnie tworzenie muzyki wyłącznie pod algorytmy czy chwilowe trendy. Oczywiście chcę, żeby moje utwory trafiały do ludzi. Chcę być słuchana. Ale jednocześnie zależy mi na tym, żeby za każdą piosenką stały prawdziwa emocja i prawdziwa historia. Jeżeli po latach wrócę do swoich utworów i nadal będę mogła powiedzieć: „Tak, to jestem ja”, wtedy uznam, że była to dobra droga.

– Jak patrzysz na współczesny rynek muzyczny? Radio czy streaming?

– Nie lubię wybierać między jednym a drugim. Mam poczucie, że każde medium pełni dziś inną funkcję. Streaming daje ogromne możliwości. Pozwala dotrzeć do ludzi niezależnie od miejsca zamieszkania czy wieku. Z drugiej strony radio nadal ma swoją siłę. Nadal są słuchacze, którzy codziennie włączają radio w samochodzie, w pracy czy w domu. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby muzyka trafiała do ludzi. Nie zamykam się na żaden kanał komunikacji. Staram się być obecna wszędzie tam, gdzie ktoś może chcieć posłuchać moich piosenek.

– Gdzie widzisz siebie za kilka lat?

– To pytanie, które przez wiele lat sprawiało mi trudność. Dzisiaj wiem już trochę więcej niż kiedyś, ale nadal nie lubię zamykać się w sztywnych definicjach. Wiem natomiast, że chcę tworzyć muzykę opartą na emocjach i dobrych tekstach. Chcę rozwijać się jako autorka i wokalistka, nagrać płytę, grać koncerty. Chcę spotykać ludzi, którzy odnajdują w moich piosenkach własne historie. Jeżeli miałabym wskazać artystki, przy których czułabym się naturalnie jako support, pomyślałabym o Darii Zawiałow czy Zalii. To są twórczynie, które potrafią połączyć autentyczność z komunikatywnością. Bardzo cenię taki kierunek. Ale przede wszystkim chciałabym pozostać sobą. To brzmi jak banał, ale w branży muzycznej jest to chyba jedno z największych wyzwań.

POJAWIŁY SIĘ GUZKI NA STRUNACH GŁOSOWYCH. NA SZCZĘŚCIE BYŁY NA TYLE NIEWIELKIE, ŻE UDAŁO SIĘ UNIKNĄĆ OPERACJI.

– Na koniec – o czym dziś marzy Marcella?

– O płycie. Bez wątpienia o płycie. Mam napisanych wiele utworów, które czekają na swoją kolej. Problemem nie są pomysły ani brak materiału. Największym wyzwaniem są kwestie produkcyjne i finansowe. Tworzenie muzyki to proces wymagający czasu, zaangażowania wielu ludzi i odpowiednich środków. Jednocześnie staram się patrzeć na to z wdzięcznością. Dzięki temu mogę spotykać na swojej drodze fantastycznych twórców, producentów i muzyków. Każda współpraca czegoś mnie uczy. Dlatego nie myślę o karierze jak o wyścigu. Bardziej jak o podróży. Chciałabym po prostu konsekwentnie iść swoją drogą, nagrywać kolejne utwory i budować relację ze słuchaczami. Jeśli przy okazji uda się spełnić większe marzenia, będę bardzo szczęśliwa. Ale najważniejsze jest to, żeby nie stracić tej radości, która towarzyszy mi od momentu, kiedy jako mała dziewczynka śpiewałam z głową schowaną w pralce. S

ŻYCIE **MICHALSKI**

eprasa.pl 76d3415895

FILM

„Gierek” po latach

Marek Nowak

Na Netflixie trafiłem na film „Gierek” w reżyserii Michała Węgrzyna. Gigant streamingowy ciągle ma ten film w swojej ofercie. Oglądałem go w kinie w 2022 r. i byłem ciekaw, czy wrażenia się powtórzą. Po latach czasem pewne filmy zyskują w naszych oczach, inne zaś tracą. „Gierka” nie widziałem od kilku lat, stąd tym większa pokusa, by zerknąć i sprawdzić, jak przeszedł próbę czasu. Muszę przyznać, że ciągle jest to intrygujące dzieło.

Filmując „Gierka”

W wywiadzie udzielonym mi w 2022 roku scenarzysta i producent filmu Heathcliff Janusz Iwanowski podkreślał, że jednym z głównych celów powstania produkcji było wypełnienie ogromnej luki w polskiej kinematografii.

– Czy to się komuś podoba, czy nie, Edward Gierek należy do 5 najwyżej ocenianych polityków w Polsce XX wieku i to również przez czytelników „Gazety Wyborczej”, słuchaczy Radia Zet czy widzów TVN-u. W 2004 roku zrobiono na ten temat plebiscyt na reprezentatywnej grupie społecznej i Gierek zebrał w nim 45%, bijąc na głowę większość współczesnych polityków. W tej piątce najważniejszych polityków ponadto znaleźli się Jan Paweł II, kardynał Stefan Wyszyński, Lech Wałęsa i marszałek Józef Piłsudski. Jan Paweł II i marszałek Piłsudski doczekali się już kilku filmów i seriali, kardynał Wyszyński – dwóch filmów kinowych, a Lech Wałęsa – jednego. Edward

eprasa.pl 76d3415895

Gierek nie doczekał się żadnej filmowej opowieści i – szczerze mówiąc – jestem przekonany, że gdybyśmy my się tego zadania nie podjęli, to tak by jeszcze bardzo długo pozostało – mówił wówczas Iwanowski. Historia I sekretarza KC PZPR rzeczywiście przypomina gotowy scenariusz na dobre kino biograficzne. Fakt, że na jego ekranizację musieliśmy czekać ponad trzy dekady po 1989 roku, wiele mówi o polskim kinie po transformacji – o dominujących narracjach, tabu i polityce pamięci. Akcja filmu rozgrywa się w latach 1970–1982 i obejmuje okres od odsunięcia Władysława Gomułki w wyniku krwawych wydarzeń grudniowych, przez przejęcie władzy przez Gierka, aż do kryzysu gospodarczego, strajku 1980 roku i internowania I sekretarza. Reżyser Michał Węgrzyn, znany z zamiłowania do kina gatunkowego, połączył w „Gierku" różne konwencje: biograficzny dramat, polityczny thriller, kino historyczne, elementy satyry politycznej i nawet, w pewnym stopniu, filmową dekonstrukcję mitów. Efektem jest obraz, który raz jest realistyczny, raz świadomie stylowy, a czasami nawet przerysowany. Chwilami zbliża się do ostrej, absurdalnej satyry w stylu „Śmierci Stalina" Armanda Iannucciego, by za moment wrócić do poważnego, psychologicznego kina biograficznego. Ten gatunkowy miszmasz nadaje filmowi specyficzny, eklektyczny styl – dla niektórych odświeżający, dla innych chaotyczny i irytujący. Mnie osobiście podobał się zarówno w dniu premiery, jak i dziś, przy ponownym seansie. Obraz ten został zmiażdżony przez znaczną część krytyki i dziennikarskiego mainstreamu. Oczywiście, film jako dzieło popkultury podlega krytyce, a żadna produkcja nie jest wolna od warsztatowych zastrzeżeń, ale skala hejtu, która dotknęła tego dzieła, daleko wykraczała poza kwestie reżyserii, scenariusza czy aktorstwa. Miała wyraźnie ideologiczny wymiar.

Fot. kadr z filmu

REŻYSER MICHAŁ WĘGRZYN, ZNANY Z ZAMIŁOWANIA DO KINA GATUNKOWEGO, POŁĄCZYŁ W „GIERKU" RÓŻNE KONWENCJE: BIOGRAFICZNY DRAMAT, POLITYCZNY THRILLER, KINO HISTORYCZNE, ELEMENTY SATYRY POLITYCZNEJ I NAWET, W PEWNYM STOPNIU, FILMOWĄ DEKONSTRUKCJĘ MITÓW.

Prawicowy „Gierek" czy apoteoza PRL-u?

Broniłem tego filmu zarówno przed atakami z lewej, jak i z prawej strony sceny politycznej. Najbardziej kuriozalne wydawały mi się jednak zarzuty płynące z lewicy. Z częścią z nich można by wysnuć zarzut, że lewica film odrzuca, bo... filmowy Gierek jest zbyt prawicowy. Publicysta „Krytyki Politycznej" Michał Sutowski szydził, że to „dobry, poczciwy Polak, prawie katolik". Zważywszy, że w filmie Gierek (zgodnie z faktami historycznymi) podkreśla kilka razy, że jest ateistą – ciężko traktować tę krytykę poważnie.

Pozostaje pytanie, skąd ona się bierze? Tu odpowiedź wydaje się prosta. Lewica strukturalnie nie postrzega samej siebie w kategorii politycznego podmiotu i reaguje agresją na wszystko, co pokazuje, że to nie jest jedyna możliwa droga. Gdyby polska lewica miała choć cień intelektualnej i politycznej podmiotowości, dostrzegłaby, jak wiele ten film daje jej przestrzeni. Na poziomie meta jest to opowieść o tym, jak być lewicą w kraju Europy Środkowo-Wschodniej – akceptując skomplikowaną historię uwikłania w komunizm, jednocześnie odrzucając jego neokolonialny, sowiecki wymiar. W tym sensie „Gierek" był szansą na galwanizację resztek postkomunistycznego etosu, ale został przez ten obóz odrzucony. Dziś zamiast twarzy dawnego I sekretarza ma on twarz Włodzimierza Czarzastego i pułkownika Adama Mazguły. Wydaje się to aż nazbyt widoczną skalą jego upadku. Oczywiście obraz Gierka, który jest niewierzący, ale rozmawia z prymasem i darzy go wielkim szacunkiem, nie śpiewa kolęd, lecz siada do wigilijnego

eprasa.pl 76d3415895

stołu, może w dzisiejszym świecie pakietowanych wartości budzić dysonans. Podobnie jak bardzo widoczne w filmie przywiązanie Gierka do patriotyzmu. A jednak cały ten obraz jest bliski rzeczywistości. W wywiadzie dla WP prof. Adam Gierek tak wspominał ojca: „Pytałem go kiedyś: «Jak mam cię w przyszłości opisywać? Czy byłeś socjalistą, komunistą, socjaldemokratą? ». On mówił: «Mów wszystkim, synu, że byłem Polakiem». To była jego ideologia". Filmowy Gierek jest w wielu aspektach bliższy faktom, niż fantazje na jego temat snute przez lewicowych publicystów. Jednocześnie, gdy porównamy ten obraz z obrazami dzisiejszych wybryków niektórych lewicowych posłanek młodego pokolenia, jak Klaudia Jachira, bazgrząca na polskiej fladze swastykę, to widzimy, jak bardzo te światy się rozjeżdżają. Pojawiający się z prawej strony zarzut, że przedstawiając Edwarda Gierka w dobrym świetle, film jest apoteozą PRL-u, wydaje mi się kompletnie chybiony. Ocena Polski Ludowej jest tu znacznie bardziej zniuansowana, niż przyzwyczaiły nas do tego polskie produkcje. Film dostrzega modernizacyjne ambicje, patriotyczną postawę Gierka i jego ekipy, którzy w warunkach ograniczonej suwerenności próbowali realnie rozwijać kraj i szanować narodową tożsamość. Jednocześnie nie unika ciemnych kart: zależności od ZSRR, inwigilacji społeczeństwa, zmuszania ludzi do donoszenia na innych czy cenzury. Taki złożony portret jest w polskim kinie po 1989 roku wciąż rzadkością. Jednak największy hejt na film Węgrzyna wylał się nie z lewej czy z prawej strony, lecz ze strony liberalnego mainstreamu.

TWÓRCY FILMU POKAZUJĄ, ŻE EPOKA GIERKA TO NIE TYLKO PROPAGANDA I PUSTE PÓŁKI W 1981 ROKU, ALE PRZEDE WSZYSTKIM NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA KRAJU W CAŁYM OKRESIE PRL-U: BUDOWA HUT, PORTÓW, DRÓG, OSIEDLI – MILIONÓW MIESZKAŃ, UPOWSZECHNIENIE DOSTĘPU DO EDUKACJI I KULTURY.

Spór o Gierka czy o generała?

„Gierek to najgłupszy polski film nakręcony w XXI wieku" – pisał w dniu premiery na łamach „Newsweeka" Krzysztof Warga. Dalej brawurowo rozwijał swoją tezę: „Czymże jest obecnie panujący nam kaczyzm, jak nie gierkowszczyzną na dopalaczach?". Gdy film trafił na Netflixa, ten sam periodyk, tym razem piórem Waldemara Kumora, stwierdził: „Gierek już na Netflixie. Taki sposób opowiadania historii może spodobać się Kaczyńskiemu". Trudno nie dostrzec w tych tekstach nie tylko ideologicznej obsesji, ale i pewnej zawziętości. Nawet jeśli ktoś uważa, że biografia I sekretarza nie jest dziełem artystycznie spełnionym, to dlaczego jedna produkcja wywołuje tak uporczywe ataki przez kilka lat? Po co wracać do niej z taką pasją, zamiast po prostu przejść do kolejnego tytułu? Zająć się innymi udanymi lub mniej udanymi produkcjami? Odpowiedź wydaje się leżeć głębiej niż tylko w kwestiach warsztatowych. Na poziomie metapolitycznym „Gierek" Michała Węgrzyna uderza w same fundamenty mitów założycielskich III Rzeczypospolitej – zarówno w ich wersji postkomunistycznej, jak i postsolidarnościowo-liberalnej. Paradoksalnie największe oburzenie nie wzbudził nawet sam Edward Gierek, lecz sposób przedstawienia generała Wojciecha Jaruzelskiego. W filmie nie pada nazwisko „Jaruzelski", ale postać generała Roztockiego (w charakterystycznych okularach, z manierą i stylem mówienia Jaruzelskiego) grana przez Antoniego Pawlickiego jest aż nadto czytelną aluzją. Na tyle oczywistą, że oburzyła byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który – jak sam przyznał – wyszedł z kina w trakcie projekcji. – Tego, co pokazy-

W METANARRACJI FILMU GENERAŁ JARUZELSKI PEŁNI ROLĘ FIGURY NIEMAL SAKRALNEJ DLA PORZĄDKU III RP – JEST JEGO METAFORYCZNYM „JANEM CHRZCICIELEM" PRZYNAJMNIEJ W DWÓCH ISTOTNYCH KWESTIACH.

eprasa.pl 76d3415895

wali, po prostu nie było! Liderzy polityczni – można ich krytykować, oceniać, jak się chce, ale to nie byli durnie – mówił w rozmowie z portalem naTemat.pl. Owszem, można się zgodzić, że portret Roztockiego – Jaruzelskiego jest karykaturalny i momentami zbyt czarny. Reżyser poszedł tu w stronę satyrycznej przesady. Jednak sedno sprawy nie leży w historycznej precyzji tej jednej postaci, lecz w tym, co symbolizuje.

Jaruzelski jako Jan Chrzciciel III RP

W metanarracji filmu generał Jaruzelski pełni rolę figury niemal sakralnej dla porządku III RP – jest jego metaforycznym „Janem Chrzcicielem" przynajmniej w dwóch istotnych kwestiach. Po pierwsze, wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku fizycznie i moralnie zdławiło dynamiczny, oddolny ruch społeczny Sierpnia '80. Rozbiło struktury samoorganizacji, zdelegalizowało niezależne związki zawodowe i stworzyło społeczne zgliszcza. Na tym wypalonym gruncie łatwiej było w latach 1989–1990 przeprowadzić radykalną terapię szokową Balcerowicza – reformy, które dla części społeczeństwa oznaczały dramatyczną pauperyzację, masowe bezrobocie i utratę poczucia bezpieczeństwa. Bez „wyczyszczenia pola" przez juntę trudniej byłoby narzucić nowy ład ekonomiczny i ideowy. Po drugie, język propagandy stanu wojennego – piętnujący „rozrabiaków", „roszczeniowców", „wichrzycieli" i „wrogów porządku" – stał się później językiem elit III RP. Hasła o „odpowiedzialności za państwo", „racjonalności" i „niemożności spełniania obietnic" były wykorzystywane do delegitymizacji niemal każdego poważniejszego protestu społecznego. Jednocześnie mit o „rozrzutności Gierka", „dzikim zadłużeniu" i „gospodarczej katastrofie lat 70." stał się wygodną pałką propagandową. Służył do moralnego i intelektualnego zdyskredytowania wszelkich prób ambitnej, suwerennej polityki gospodarczej państwa – niezależnie od tego, kto ją proponował. Twórcy filmu otwarcie podważają ten czarny mit. Pokazują, że epoka Gierka to nie tylko propaganda i puste półki w 1981 roku, ale przede wszystkim największa modernizacja kraju w całym okresie PRL-u: budowa hut, portów, dróg, osiedli – milionów mieszkań, upowszechnienie dostępu do edukacji i kultury. Pokazują, że narracja o „strasznych długach Gierka" ma w dużej mierze propagandowy charakter. W tym sensie „Gierek" jest czymś znacznie większym niż zwykłą biografią. To swoista filmowa maszyna wojenna wymierzona w kilka kluczowych mitów założycielskich III RP jednocześnie. Gdyby udało się te mity choćby nadkruszyć, nagle cała klasa polityczna i medialna III RP musiałaby zacząć odpowiadać na trudne pytania: o cenę transformacji, o utracone szanse lat 70., o to, kto naprawdę ponosi odpowiedzialność za pauperyzację milionów Polaków w latach 90. Przede wszystkim nagle okazałoby się, że ci, którzy dotąd nie musieli się tłumaczyć ze swoich „oczywistych opinii", nagle będą musieli je uzasadniać. Dlatego film Węgrzyna wywołał tak histeryczną reakcję nie tylko lewicy, ale przede wszystkim liberalnego mainstreamu. Spór o „Gierka" tak naprawdę nigdy nie był sporem o Edwarda Gierka. To spór o to, kto ma prawo opowiadać polską historię – i w czyim interesie ta opowieść ma być prowadzona.

> NIECHĘĆ, JAKĄ OBRAZ TEN WZBUDZIŁ W LIBERALNEJ PRASIE, NIE WYNIKA RACZEJ Z KWESTII EWENTUALNYCH BRAKÓW WARSZTATOWYCH. W DZISIEJSZEJ POLSCE WSZYSTKO, ŁĄCZNIE Z MECHANIZMAMI OCENNYMI FILMÓW, JEST ZAPRZĘGNIĘTE DO IDEOLOGICZNYCH POJEDYNKÓW PAKIETOWYCH ŚWIATÓW.

Obejrzeć czy nie?

Po latach od premiery widać, że filmowemu „Gierkowi" nie udało się, niestety, zainicjować tak potrzebnej w naszym kraju debaty, a uporczywe powtarzanie przez mainstream negatywnego przekazu odnośnie do filmu wpłynęło zniechęcająco na część potencjalnych odbiorców. O produkcji jest cicho, nad czym trochę ubolewam. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że dzieło Węgrzyna nie jest obrazem idealnym, a jego ekscentryczna formuła żonglerki gatunkowej z pewnością nie wszystkim przypadnie do gustu. Jednak, nie oszukujmy się, niechęć, jaką obraz ten wzbudził w liberalnej prasie, nie wynika raczej z kwestii ewentualnych braków warsztatowych. W dzisiejszej Polsce wszystko, łącznie z mechanizmami ocennymi filmów, jest zaprzęgnięte do ideologicznych pojedynków pakietowych światów. Dlatego tym bardziej nie należy przejmować się ocenami i warto samemu ten film zobaczyć, a także dyskutować o nim i kłócić się o niego. Niech samo to, że mało który film po 1989 roku wywołał tyle medialnej histerii, posłuży za najlepszą rekomendację.

eprasa.pl 76d3415895

FILM

Swój własny krzyż

5 lat temu, 24 czerwca, Michał Ulewiński wziął na plecy swój własny krzyż i wyruszył w drogę. Nie ma w tych słowach żadnej przenośni. **Ulewiński w Polskę poszedł z własnoręcznie wykonanym krzyżem**, znak krzyża wydeptał też na mapie, a wszystko po to, by wymodlić nawrócenie i zjednoczenie Polaków. Ktoś mógłby pomyśleć, że jak na razie się to nie udało, a jednak – nie do końca tak jest, o czym opowiada film „Posłani" w reżyserii Dariusza Walusiaka, który wszedł do kin 22 maja br.

Krzysztof Karnkowski

Wszystko w tej trasie było od Pana Boga. Tam nic nie było ode mnie. Każdy wymiar krzyża, czyli 3 metry na 153 centymetry, zrobiony z kantówki 7 na 10 centymetrów, wszystko ma po prostu swoją symbolikę. Ja chciałem też tymi wymiarami przeprosić Boga za to, że siedem grzechów głównych panuje na całym świecie, że ludzie nie żyją według dziesięciu przykazań. Też ta belka pionowa... Pan Bóg jest jeden

eprasa.pl 76d3415895

Fot. kadr z filmu

w trzech osobach, dlatego krzyż miał 3 metry. 153 centymetry, czyli tyle, ile „Zdrowaś Maryjo" w objawionym różańcu – opowiadał Michał Ulewiński Grzegorzowi Kasjaniukowi. – Matka Boża szła do Świętej Elżbiety 153 kilometry. Ostatni połów ryb apostołów z Jezusem to były 153 ryby. Tak jak sama nazwa miejscowości. Różaniec, Giewont, krzyż na Giewoncie, Gniezno, Sokółka. Tu też Pan Bóg po prostu mi pokazał pewne rzeczy przez same te miejscowości, że mamy wrócić do korzeni, do naszego chrztu. Mamy żyć chrztem świętym – mówi.

Inspiracją dla Ulewińskiego była lektura „Dzienniczka" s. Faustyny, podczas której poczuł impuls, by wyruszyć w taką właśnie drogę. „Punktem kulminacyjnym pielgrzymowania było zdobycie Giewontu. 20 lipca pielgrzym z krzyżem na plecach stanął z krzyżem na Giewoncie, gdzie odmówił modlitwę w intencji Polski zakończoną słowami «W całym Narodzie i Państwie Polskim – Króluj nam, Chryste!»" – pisał, relacjonując pielgrzymkę, portal katolik.pl. Osią filmu Walusiaka jest rekonstrukcja tamtej drogi, od budowy krzyża, przez odwiedzanie kolejnych miejsc, aż do ponownej wspinaczki na Giewont. Reżyser przyznaje, że wybierając poszczególne lokacje, kierował się ich atrakcyjnością wizualną. Było warto, a przy tym to pokazanie piękna naszego kraju znakomicie współgra zarówno z ukazaniem piękna naszej wciąż żywej duchowości, jak i z patriotyczno-religijnymi motywacjami pielgrzymującego bohatera tej opowieści.

WALUSIAK, WYCHODZĄC OD OPOWIEŚCI O ULEWIŃSKIM, POKAZUJE NAM MIEJSCA, KTÓRE NAZWAĆ MOŻEMY CENTRAMI I ŹRÓDŁAMI ŻYWEJ WIARY.

Boska interwencja

W kinie religijnym modne wydaje się być ostatnio ukazywanie działania siły wyższej w życiu zwykłych, nieraz w różny sposób skrzywdzonych, złamanych lub żyjących gdzieś obok swych społeczności ludzi lub przeciwnie – osób całkowicie zwyczajnych, których niespodziewanie dotykają najpierw wielkie, niespodziewane nieszczęście, a potem jeszcze większy i wymodlony cud. W przypadku Michala Ulewińskiego boska interwencja i rozpaczliwa próba powstrzymania jej przez diabła miała wręcz namacalny przebieg, mogący kojarzyć się z kinem grozy, tyle że odczuwanym przez człowieka z krwi i kości, mającego wiele problemów, a nie aktora na ekranie. Fizycznej obecności zła i indywidualnych objawień doświadczyli też inni bohaterowie filmu. Dariusz Walusiak, wychodząc od opowieści o Ulewińskim, pokazuje nam miejsca, które nazwać możemy centrami i źródłami żywej wiary katolickiej w Polsce. Jednak i te historie, podobnie zresztą jak droga samego Ulewińskiego, często zaczynają się od cudów, od nawrócenia, uzdrowienia, wysłuchania. „Historia Michała miała być punktem wyjścia do opowieści o Kościele w Polsce. Chodziło o to, by pokazać różne przejawy działań katolików świeckich, którzy z miłości do Boga robią rzeczy niezwykłe. Razem z żoną Beatą jesteśmy także aktywni w tym środowisku. Uczestniczymy w wielu inicjatywach takich jak Męski Różaniec, Kobiecy Różaniec, Msze «Powróć córko, wróć synu», gdzie wierni modlą się w intencji tych, którzy odeszli od Kościoła. Byliśmy wśród organizatorów krakowskiego Białego Marszu Papieskiego w 2023 r., no i przede wszystkim od 13 lat przygotowujemy Krakowskie Zaduszki za Żołnierzy Wyklętych – Niezłomnych. To też zbliżyło nas do ludzi, którzy w innych miastach zajmują się podobną działalnością" – opowiada reżyser w materiałach promujących film. W „Posłanych" możemy więc przyjrzeć się uczestnikom Męskiego Różańca, a także środowisku Wojowników Maryi przedstawionemu poprzez historię jednego z członków tej wspólnoty. Film przybliża również działalność Anety Ciężarek, zaangażowanej w organizację peregrynacji obrazu

eprasa.pl 76d3415895

Matki Bożej Łaskawej po Polsce, również w jednostkach wojskowych. Tu warto dodać, że sam Ulewiński stał się później kustoszem peregrynacji figury Matki Bożej Różańcowej Fatimskiej. Twórcy towarzyszą uczestnikom Nocnej Pielgrzymki Pokutnej z Miedniewic do Niepokalanowa oraz osobom kontynuującym dzieło bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W relacjach bohaterów odnajdujemy wspomniane już świadectwa nawróceń, opowieści o zmaganiach z życiowymi trudnościami, nałogami, rozwiązłością i innymi słabościami, a także historie wydarzeń, które oni sami lub ich bliscy uznają za autentyczne cuda. Film pokazuje również, jak inicjatywy przyjmowane początkowo z dystansem lub obojętnością nawet przez kapłanów, z czasem przeradzały się w ruchy o ogromnym zasięgu, wykraczającym daleko poza granice Polski. Tak przedstawiony zostaje choćby fenomen Męskiego Różańca, którego uczestnicy dostrzegają w nim zapowiadaną przez św. Faustynę „iskrę" mającą wyjść z Polski i przemienić świat.

W RELACJACH BOHATERÓW FILMU ODNAJDUJEMY ŚWIADECTWA NAWRÓCEŃ, OPOWIEŚCI O ZMAGANIACH Z ŻYCIOWYMI TRUDNOŚCIAMI.

Ku Bogu i z Bogiem

Samotna pielgrzymka Ulewińskiego była sporym wydarzeniem i przyniosła swoje owoce w życiu nie tylko jego samego, ale i ludzi, których napotkał. Jeśli ktoś chciałby poznać bliżej historię jego duchowej przemiany, może zapoznać się na przykład z dostępnym na YouTubie świadectwem wygłoszonym w lipcu 2021 roku w sanktuarium Matki Bożej Chełmskiej. Ulewiński opowiadał wówczas o całej drodze od wieloletniego uzależnienia i życia z dala od Boga do głębokiego nawrócenia i działalności ewangelizacyjnej. Dowiadujemy się, że jako dziecko zaczął palić papierosy, później w jego życiu pojawiły się alkohol, narkotyki, pornografia i hazard. Przez ponad dwadzieścia lat pozostawał daleko od Kościoła, aż w 2013 roku przeżył doświadczenie Bożej obecności, które zapoczątkowało jego duchowe poszukiwania. Przełomem okazało się przypadkowe natrafienie w internecie na nagranie ks. Dominika Chmielewskiego „Kim jest Ojciec Niebieski", którego przez półtora roku bezskutecznie próbował odnaleźć. W końcu spotkał kapłana podczas rekolekcji i, jak sam twierdzi, doznał natychmiastowego uwolnienia od uzależnień. Po nawróceniu rozpoczął intensywne życie religijne, szczególną rolę przypisując Maryi. Pod wpływem lektur i modlitwy różańcowej przyjął szkaplerz karmelitański, a swoje duchowe doświadczenia interpretował jako prowadzenie Matki Bożej. Z czasem zaczął organizować publiczne inicjatywy modlitewne, m.in. ogólnopolską akcję różańcową obejmującą wszystkie stolice województw. Kolejnym etapem tej drogi była właśnie pielgrzymka po Polsce. Dodajmy, że Ulewiński w innych rozmowach, np. wywiadzie z Kasjanowiczem, wielokrotnie podkreśla, że początkowo nie rozumiał maryjności, a nawet reagował na nią niechęcią. Z czasem jednak uznał ją za klucz do swojej duchowości. Opowiada o różańcu, szkaplerzu karmelitańskim, zawierzeniu według św. Ludwika Marii Grigniona de Montfort (bardzo ważnego także dla maryjnej duchowości Jana Pawła II, o czym mogliśmy dowiedzieć się z opisywanego niedawno na naszych łamach filmu „Maryja. Matka Papieża") oraz doświadczeniach mistycznych, które interpretuje jako obecność Matki Bożej w swoim życiu.

Cud wymodlony

„Posłani" to więc film o wierze, cudach, drodze, wreszcie film o krzyżu, rozumianym dosłownie i w przenośni. Jak komentuje ks. Mateusz Szerszeń, red. naczelny pisma „Któż jak Bóg": „To opowieść o krzyżu, który nie jest tylko symbolem zawieszonym na ścianie, ale doświadczeniem wpisanym w życie każdego człowieka. Niezależnie od epoki, kultury czy historii ludzi łączy jedno – cierpienie. Każdy niesie jakiś ciężar. Każdy nosi swój krzyż. I właśnie ten motyw staje się sercem całego filmu". Na koniec oddajmy jeszcze raz głos Ulewińskiemu. „Dwa miesiące drogi z piętnastometrowym krzyżem. 1680 i pół kilometra bez gotówki, bez karty kredytowej, w stuprocentowym zaufaniu, że Pan Jezus wszystkim się zajmie. Czułem się niesamowicie wolny i jedyne, co było dla mnie ważne w tym momencie, to Pan Bóg. Ja po prostu zacząłem za nim tęsknić. Tęsknota za Panem Bogiem i świadomość, że na tym świecie te wszystkie rzeczy materialne nie mają żadnej wartości, a największą wartością jest Pan Jezus ukryty w przenajświętszym sakramencie, to jest coś niesamowitego, czego nie da oddać się ludzkimi słowami. Te dwa miesiące drogi wierzę, że były wielkim błogosławieństwem i ono wyda owoce, ale tylko Bóg wie kiedy" – to słowa, którymi młody pielgrzym podsumowuje swoją drogę i jej filmową rekonstrukcję. Jednak nawet z samego filmu możemy dowiedzieć się, że pierwsze owoce już się pojawiły. Znaki, cuda, objawienia towarzyszą nam przecież cały czas, choć nie zawsze potrafimy je odczytać i przyjąć.

„Posłani" scen. i reż. Dariusz Walusiak, obsada Dariusz Walusiak.

eprasa.pl 76d3415895

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

MAISIE PETERS – FLORESCENCE
WYD. WARNER

„Florescence" pokazuje Maisie Peters w najbardziej dojrzałym wydaniu. Artystka zachowuje swój znak rozpoznawczy – błyskotliwe, emocjonalne teksty – ale tym razem brzmi pewniej i bardziej świadomie. Album balansuje między indie popem a nowoczesnym singer-songwriterstwem, pełnym subtelnych aranżacji i chwytliwych refrenów. Peters świetnie opowiada o relacjach, rozczarowaniach i próbie odnalezienia siebie po emocjonalnych turbulencjach. Produkcja jest lekka, momentami wręcz eteryczna, dzięki czemu nawet bardziej gorzkie historie nie tracą przebojowego charakteru. Największą siłą płyty pozostaje autentyczność – trudno oprzeć się wrażeniu, że każda piosenka jest fragmentem pamiętnika. To album intymny, ale jednocześnie bardzo uniwersalny.

BNYX® – GENESIS FM
WYD. UMG RECORDINGS

GENESIS FM to album, który pokazuje BNYX® jako jednego z najbardziej kreatywnych producentów młodego pokolenia. Płyta jest mocno osadzona w nowoczesnym trapie i eksperymentalnym rapie, ale artysta stale wychodzi poza gatunkowe schematy. Futurystyczne bity, przestrzenne synthy i dynamiczne przejścia tworzą wrażenie słuchania radiowej transmisji z alternatywnej rzeczywistości. Produkcja jest niezwykle dopracowana – każdy detal ma swoje miejsce, a całość brzmi świeżo i bardzo nowocześnie. Gościnni artyści dobrze odnajdują się w tej estetyce, choć to właśnie warstwa instrumentalna pozostaje największym bohaterem albumu. GENESIS FM nie jest łatwą płytą na pierwszy odsłuch, ale z każdym kolejnym odkrywa nowe warstwy i pomysły.

BLEACHERS – EVERYONE FOR TEN MINUTES
WYD. DIRTY HIT

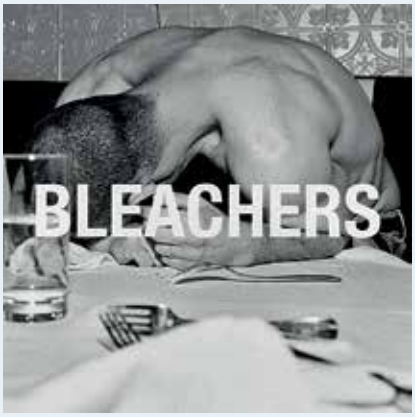

Jack Antonoff po raz kolejny udowadnia, że projekt Bleachers jest czymś więcej niż nostalgicznym hołdem dla pop-rocka lat 80. Everyone for ten minutes brzmi jak ścieżka dźwiękowa do nocnej jazdy samochodem – pełna syntezatorów, stadionowych refrenów i melancholii ukrytej pod energetyczną produkcją. Album jest bardziej refleksyjny niż wcześniejsze wydawnictwa zespołu, ale nie traci charakterystycznej przebojowości. Antonoff świetnie buduje emocjonalne napięcie, przechodząc od kameralnych fragmentów do potężnych kulminacji. Teksty dotykają samotności, przemijania i potrzeby bliskości, dzięki czemu całość ma bardzo osobisty wymiar. To płyta, która jednocześnie wzrusza i daje poczucie wolności.

THE ALL-AMERICAN REJECTS – SANDBOX
WYD. WŁASNE

Na „Sandbox" The All-American Rejects wracają do melodyjnego pop-punku i alternatywnego rocka, który przed laty zapewnił im ogromną popularność. Album nie próbuje na siłę udawać nowoczesności – zamiast tego stawia na energię, gitarowe brzmienie i emocjonalne refreny. Słychać, że zespół dojrzewał przez lata, bo obok młodzieńczej buntowniczości pojawia się też refleksja nad dorosłością i zmianami w życiu. Produkcja jest bardziej stonowana niż w największych hitach grupy, ale dzięki temu utwory mają więcej przestrzeni i naturalności. „Sandbox" działa najlepiej wtedy, gdy łączy nostalgię z nową perspektywą. To udany powrót zespołu, który przypomina, dlaczego The All-American Rejects byli jedną z ikon gitarowego grania lat 2000.

eprasa.pl 76d3415895

Bóg w komiksie

Ludwik Pęzioł

Gdy parę lat temu ukazało się anime „Frieren. U kresu drogi", internetowe środowiska chrześcijańskie w Polsce wręcz rzuciły się na nie, promując je w sposób niemal misyjny. Świadczy to o głodzie dobrej popkultury wśród osób religijnych – takiej, która rezonowałaby z ich przekonaniami. Nie jest tajemnicą, że od dziesiątków lat twórcy chrześcijańscy próbujący wejść na to terytorium popełniają nieustannie ten sam grzech: przekonani o wzniosłości idei ewangelizacji uważają, że ona sama uczyni z miernoty coś godnego uwagi. Jest dokładnie odwrotnie. Choć twórcy chrześcijańskich „produkcyjniaków" zbiorą aplauz w swoim środowisku i zaliczą serię zaproszeń od parafii, poza własną wieżą z kości słoniowej uznania raczej nie uświadczą. I nie dlatego, że świat jest dziś nieprzychylny chrześcijaństwu (to zawsze wygodna wymówka), ale dlatego, że tworzą rzeczy ckliwe, siermiężne i wtórne.

Za każdym razem więc, gdy trzeba podejść krytycznie do nowego dzieła z omawianej szufladki, włączają się lampki alarmowe. Dotyczyło to również komiksowej „Biblii" („The Action Bible") z ilustracjami Brazylijczyka Sergia Cariella. Fakty, że twórcą jest uznany rysownik pracujący dla największych amerykańskich wydawców, a także sama monumentalna objętość dzieła, kazały jednak podejść do niego z nieco większym kredytem zaufania niż zwykle.

UCHWYCENIE TRUDNEJ WIĘZI KRÓLA SAULA Z DAWIDEM TO MOMENT, W KTÓRYM TWÓRCY WZNOSZĄ SIĘ NA PUŁAP WYSOKIEJ SZTUKI.

Arcytrudne zadanie

Jak komiksowo „ugryźć" Biblię, księgę przedstawiającą często historie porwane, rozrzucone po różnych księgach, a niekiedy wręcz pozbawione typowej, dającej się zilustrować fabuły? Wystarczy wspomnieć psalmy, instrukcję budowy Arki Przymierza czy nowotestamentowe listy. Widać więc, jak fundamentalna była sama koncepcja podejścia do tak nieoczywistej materii. Twórcy ustalili proporcje własnej uwagi adekwatnie do komiksowego medium: tam, gdzie pojawia się historia, intryga i zmagania postaci, autor przybliża swoje szkła powiększające, a tam, gdzie mamy do czynienia ze zbiorem abstrakcyjnych mądrości, nie pomijając ich, spogląda raczej z oddali. Jest to wybór w pełni uzasadniony z punktu widzenia dynamiki dzieła, która w komiksie pozostaje przecież kluczowa. Ciągłość stylistyczna oraz historia samego ludu Izraela zapewniają z kolei poczucie obcowania z jedną opowieścią, a nie ze zbiorem różnych historii.

Kolejne pytanie, a zarazem pułapka: czy nie doprowadzono tu do „upupienia" Biblii, kierując ją wyłącznie do najmłodszych i pomijając bardziej brutalne czy niepoprawne politycznie wątki? Odpowiedź brzmi – nie. Nie epatowano nimi, ale też nie schowano ich „pod sukno". Żydzi nie zostali upiększeni ani wyidealizowani względem oryginalnego przedstawienia biblijnego. Pozostają oni narodem imperialnym, często gnuśnym i niewdzięcznym, starotestamentowy Jahwe zaś nie patyczkuje się z tymi, którzy się mu sprzeciwiają. Jezus z kolei nie jest cukierkowym superbohaterem o aryjskiej urodzie, lecz postacią ekspresyjną i na swój sposób radykalną. Nie mamy tu więc do czynienia z „dziecięcymi przekłamaniami", a sam komiks może okazać się przekonujący dla czytelników w każdym wieku.

Na szczególną uwagę zasługuje moim zdaniem Księga Samuela

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 76d3415895

przedstawiająca przejście od plemiennego rządu sędziów do władzy królewskiej. Relacja odsuwającego się od Boga króla Saula z nadchodzącym nowym władcą, Dawidem, przepełniona jest psychologicznym ciężarem i bólem. Sam Saul jawi się jako postać rodem z antycznej tragedii. Z kolei Dawid to prawdziwy heros, któremu najbliżej chyba do wzoru superbohatera. Uchwycenie ich trudnej więzi to moment, w którym twórcy wznoszą się na pułap wysokiej sztuki. Drugim takim momentem jest pobyt Żydów w Babilonie i proces stopniowego powiększania ich wpływów; pod warstwą cudów i boskich ingerencji kryje się tu po prostu znakomity thriller polityczny.

Na szczęście komiks

Z początku wydaje się, że Cariello podszedł do zadania nieco zbyt zachowawczo. Nie ma tu „ryzykownej" kreski ani artystycznych odlotów. Miękka (jak na komiks), renesansowa paleta barw, wierna figuratywność, realizm. Szybko jednak zdajemy sobie sprawę, że dzieło tych rozmiarów musiało unikać stylistycznego przeładowania, a „pokora" rysownika tak naprawdę służy całości. Nie oznacza to oczywiście całkowitej rezygnacji z oryginalności. Znajdą tu coś dla siebie nawet fani psychodelii. Wizje proroków, tron Boży, serafy czy też (niestety zbyt krótko potraktowana) Apokalipsa to miejsca, w których rysownik mógł popuścić wodze artystycznej wyobraźni. No i, co najważniejsze, mamy tutaj pełnowartościowy komiks, a nie „ilustrowaną Biblię" udającą go.

Największym sukcesem jest jednak przekonujące oddanie setek, a może nawet tysięcy twarzy przewijających się przez karty Biblii. Nie mamy poczucia obcowania z kolejnymi manekinami ubranymi w starożytne szaty. Twarze oddają charaktery, posiadają własną głębię i specyfikę. Mamy złowieszczą Izebel, przebywającego w bożym szale Jana Chrzciciela, którego mimika sytuuje na granicy obłędu, płomiennego Dawida, tajemniczego Szatana na pustyni i wiele innych postaci. Najważniejsi bohaterowie zapadają w pamięć i bez trudu rozróżniamy, o kim mowa, mimo kłębowiska rozmaitych osobowości.

NAJWIĘKSZYM SUKCESEM BYŁO PRZEKONUJĄCE ODDANIE SETEK, A MOŻE NAWET TYSIĘCY TWARZY PRZEWIJAJĄCYCH SIĘ PRZEZ KARTY BIBLII.

Narzędzie ewangelizacyjne

„Biblia" Cariella oddaje to, co w Piśmie Świętym szczególnie ważne – pokazuje historię operującą Bożą logiką, nie próbując przykroić jej do wymagań współczesności. Tworzy swoiste „big picture" Pisma Świętego, którego wielu czytelników nigdy by nie posiadło, zwłaszcza jeśli chodzi o te nieco rzadziej odświeżane przez kulturę epizody. Jest to przykład dzieła, w którym nie ma jedynie „dobrych chęci", ale realne wykorzystanie talentu oraz znajomości tworzywa do celów ewangelizacyjnych. Duch wieje przez karty tego komiksu, bez najmniejszej wątpliwości.

Z punktu widzenia „konsumenta popkultury" zaś „Biblia" po prostu pochłania uwagę: natychmiast łapie czytelnika w żelazny uścisk i nie wypuszcza go, a to jest przecież najistotniejsze. I choć osobiście nie mogę przecierpieć zbyt skrótowego potraktowania Apokalipsy, która aż prosiła się o bardziej szczegółowe komiksowe przedstawienie, w którym rysownik mógłby znaleźć ujście dla roztropnie tłumionej energii, jest to zaledwie łyżka dziegciu w beczce miodu.

eprasa.pl 76d3415895

KSIĄŻKA

Kobieta rycerz

Fot. Wikimedia Commons

„W każdej chwili mego życia **wierzę, ufam, miłuję**” – słowa widniejące nad pryczą Zofii Kossak-Szczuckiej w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau zostały wybrane jako motto biografii polskiej powieściopisarki autorstwa Czesława Ryszki.

Agnieszka Żurek

Wydana przez Białego Kruka książka „Historia i świętość. Zofia Kossak – biografia ilustrowana” to nie tylko faktograficzny życiorys międzywojennej pisarki i działaczki podziemia niepodległościowego w okresie II wojny światowej, ale przede wszystkim jej portret duchowy.

Być świętym

Zofia Kossak-Szczucka przeżyła dwie wojny, śmierć dwojga swoich dzieci, utratę majątku i dobrego imienia, niemiecki obóz koncentracyjny, wyrok śmierci, represje komunistyczne, społeczny ostracyzm spowodowany pomówieniami... Nigdy nie załamała się i nie straciła wiary w Bożą Opatrzność. „Na podstawie zarówno wybranego wydarzenia historycznego, jak i samej wiodącej idei religijnej, można zgodzić się na określenie większości utworów Zofii Kossak mianem katolickich. W «Krzyżowcach» oraz w kilkudziesięciu innych równie ważnych powieściach jej autorstwa katolickość objawia się w wierze w Bożą Opatrzność. To ta wiara dała pisarce po pierwsze – twórczą moc, a po wtóre – życiową siłę do przetrwania rodzinnych i narodowych tragedii; siłę, by tyle razy zaczynać wszystko od nowa. Aż rodzi się pytanie: czy jej własne chrześcijaństwo musiało przechodzić tyle prób? Czy gdyby ich zwycięsko nie przeszła, byłaby artystycznie tak dobra i tak życiowo wiarygodna?” – zastanawia się Czesław Ryszka. „Trudno sobie wyobrazić, że sama autorka, która przeżyła wielki dramat zagłady Kresów, miejsca, gdzie stworzyła swój dom, nie załamała się, doświadczywszy jakby własnej śmierci tak w wymiarze indywidualnym, jak i społecznym. Była to bowiem «śmierć» całej kultury szlacheckiej czy nawet całej kultury polskiej, katolickiej. Na własnej skórze doświadczyła, czym był bolszewizm. Dokonująca się na jej oczach zagłada miała dla niej głębszy sens – stanowiła zderzenie cywilizacji życia i cywilizacji śmierci. Zrozumiała wtedy, czym jest zło w sensie namacalnym i metafizycznym, o czym będzie pisała w swoich powieściach historycznych – jak o złu bardzo konkretnym, przed którym zwykły człowiek nie jest się w stanie sam obronić” – dodaje autor biografii pisarki.

CZESŁAW RYSZKA WYRAZIŁ NADZIEJĘ, ŻE ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA ZOSTANIE OGŁOSZONA BŁOGOSŁAWIONĄ KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO I PATRONKĄ POWIEŚCIOPISARZY.

eprasa.pl 76d3415895

Zofia Kossak-Szczucka traktowała swoje powołanie pisarskie bardzo poważnie, postrzegając je jako niwę zmagań nie tylko o świadomość, ale i duszę człowieka.

Widziała w nim także sposób, w jaki ten realizuje swoje dane mu przez Boga powołanie, uważając artystę za kogoś, komu Bóg powierza misję współstwarzania z Nim świata.

„Przy okazji pracy nad tą monografią dotarłem do informacji, że na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Zofia Kossak przed wojną w czasie spotkania ze studentami, mówiąc o Piotrze Skardze, sformułowała ważną myśl: «My wszyscy zwani katolikami z dreszczem grozy uprzytomnijmy sobie, że być dobrym katolikiem – to być świętym». [...] Stwierdzenie, że katolik piszący książki ma być świętym, brzmi jak wyzwanie, może dla kogoś nieco dewocyjnie, ale nie dla Zofii Kossak, która w swoim pisarstwie widziała tajemnicze powinowactwo z wiarą, z religią. Cóż, żyła w czasach, w których tworzono wielkie rozprawy na temat powołania literatury, a pisarza porównywano do człowieka rzucającego pierwiastki boskie między ludzi. Prawdziwa literatura – jak uważał Daniel-Rops – otwiera się na wielkoduszną afirmację życia i wszystkiego, co widzialne i niewidzialne" – stwierdza na łamach swojej książki Czesław Ryszka.

Kto milczy – przyzwala

Autor biografii Kossak-Szczuckiej udowadnia, iż jej dzieła odzwierciedlały życiową postawę pisarki. Krzewiła wartości katolickie nie tylko piórem, ale przede wszystkim własną postawą. Wiele razy ryzykowała życiem, zwłaszcza kiedy podczas niemieckiej okupacji zaangażowała się w pomoc Żydom, za co groziła wówczas kara śmierci nie tylko dla pomagającego im Polaka, ale i dla całej jego rodziny. „W getcie warszawskim, za murem odcinającym od świata, kilkaset tysięcy skazańców czeka na śmierć. Nie istnieje dla nich nadzieja ratunku, nie nadchodzi znikąd pomoc. Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia. Milczą kaci, nie chełpią się tym, co czynią. Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej wyczulone na każdą krzywdę swoich. [...] Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu – staje się wspólnikiem mordercy" – pisała Kossak na łamach prasy podziemnej. „Warszawscy Żydzi, czytając to – płakali i uczyli się fragmentów tego tekstu na pamięć" – wskazuje na łamach Biuletynu IPN prof. Paweł Skibiński.

Zofia Kossak-Szczucka utrwaliła na kartach swoich literackich dzieł tragiczne dzieje Polski w okresie wojen i okupacji, opisała barbarzyństwo sowieckie i ukraińskie, postrzegając je jednak nie jako wynik działań politycznych, ale zmagań metafizycznych o duszę każdego człowieka. Była przeciwniczką aborcji, stroniła od polityki, upatrując sensu każdego działania w sferze duchowej. Autor biografii pisarki i działaczki podziemia nie kryje, że celem publikacji jego książki jest złożenie prośby do władz kościelnych diecezji bielsko-żywieckiej o otwarcie procesu informacyjnego dotyczącego stwierdzenia heroiczności cnót Zofii Kossak. „Należy ufać, że ukazanie przykładu jej świątobliwego życia będzie miało duże znaczenie dla nowej ewangelizacji Kościoła w Polsce" – stwierdza Ryszka, wyrażając nadzieję, że jako nowa błogosławiona stanie się ona patronką powieściopisarzy.

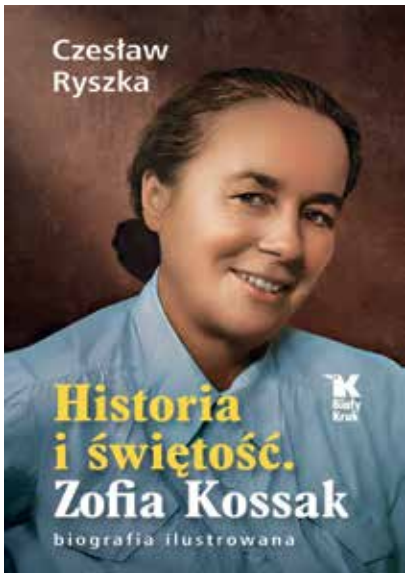

NA WŁASNEJ SKÓRZE DOŚWIADCZYŁA, CZYM BYŁ BOLSZEWIZM. DOKONUJĄCA SIĘ NA JEJ OCZACH ZAGŁADA MIAŁA DLA NIEJ GŁĘBSZY SENS – STANOWIŁA ZDERZENIE CYWILIZACJI ŻYCIA I CYWILIZACJI ŚMIERCI.

eprasa.pl 76d3415895

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

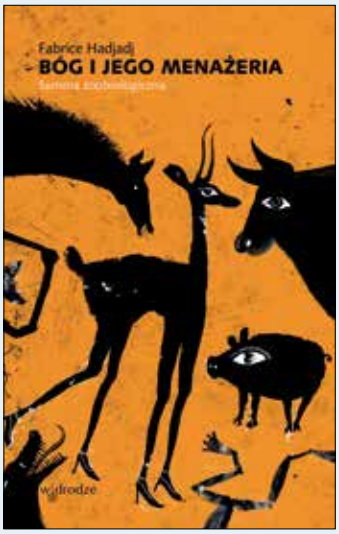

Niebożęta, stworzenia Boże

Można odkrywać zwierzęta w Psalmach, można zrzędzić, że znów zżarły pomidory i ukradły kapeć. Grunt, żeby nie zapomnieć podrapać ich za uchem.

Książki o zwierzętach wydają się jedną z mniej zagrożonych frakcji produkcji wydawniczej, nawet w czasach upadku czytelnictwa. Poradniki dla zatroskanych właścicieli psów, albumy z puszystymi kotami do postawienia na regale, przewodniki ułatwiające rozróżnianie ptaków i motyli, zbiory rekordów i ciekawostek w stylu „Czy wiecie, że…?" – tak, ten dział w księgarniach wydaje się niezagrożony, wystarczy mieć odpowiednio lśniący papier kredowy i wdzięczne zdjęcie na okładkę. Na szczęście czasem zdarzają się tytuły, które przełamują ten schemat.

Przez chwilę obawiałem się, czy nie wyrządzę despektu książce Fabrice'a Hajdadja, traktując ją jako „rzecz o zwierzętach": są to w końcu głębokie dociekania religijne i biblistyczne, wydane przez poważną oficynę dominikanów: czy nie dałem się nabrać tytułowi i wdzięcznej okładce (nb. zaprojektowanej przez brata Krzysztofa)?

Na szczęście nie. Żarliwa proza Hadjadja wychodzi od doświadczenia obecności zwierząt w naszym życiu, od roli, jaką mogą odegrać, na kartach Pisma Świętego i w codziennym spotkaniu, w odkrywaniu i pogłębianiu wiary, i ku zwierzętom ostatecznie wraca. Brzmi to dość osobliwie – a żeby uczynić tę zapowiedź jeszcze bardziej zagadkową, trzeba się zastrzec, że książka „Bóg i jego menażeria" nie jest ani prostą sumą zachwytów nad skrzydlatymi i futrzastymi „braćmi mniejszymi" w stylu wierszy księdza Jana Twardowskiego, ani pracowitym, filologicznym wyliczeniem fragmentów Biblii, w którym konkretny gatunek zwierzęcia (kruk Eliasza, oślica Baalama, gołębice…) odgrywa kluczową rolę w planie Bożym. Nie, książka Hadjadja to ani antologia wierszy „księdza od biedronek", ani album z cytatami, ładnie zilustrowany reprodukcjami rzymskich mozaik (pawie), płótna Caravaggia (baran w „Ofierze Izaaka") czy arrasów (korowód ssaków w „Wyjściu z Arki"). Ani nawet bestiarium, czyli zasłużony, starożytny gatunek literacki, traktujący – za św. Bazylim – zwierzęta jako alegorii jakiegoś grzechu lub cnoty.

Nie, proza Hadjadja – nawróconego w dorosłym wieku syna francuskich maoistów, który przedstawia się nieraz jako „Żyd z arabskim nazwiskiem wyznania katolickiego" to jakość sama w sobie, dla której nie potrafię znaleźć analogii w literaturze polskiej. To – mam nadzieję, że autor wybaczyłby mi to porównanie – klon Pascala z talentem stand-upera albo może Pascal obdarowany, za sprawą swej natury albo pod wpływem dobrze zmiksowanego drinka ekstrawaganckim, totalnym, dość bezczelnym w swym całkowitym lekceważeniu powagi poczuciem humoru. Pascal, który jednak nie jest pospolitym wesołkiem czy „wyluzowanym księdzem Jurkiem z gitarą", w typie spotykanych czasem gwiazdorów duszpasterstw młodzieżowych: Pascal, który świadom jest wagi spraw ostatecznych, „ciszy nieskończonych przestrzeni" – i który potrafi w karkołomnych zdaniach, jakby jechał na teologicznym rollercoasterze, od spostrzeżenia kogoś, komu sprawia radość widok synogarlicy czy borsuka, przejść do mistycznego doświadczenia absolutnej bliskości Boga w sakramencie (albo potrzeby takiej bliskości) i skończyć ciętym żartem, w którym odwoła się do zjawisk i terminów absolutnie współczesnych, do światów reklamy, AI, korporacji i sieciówek. Jeśli po drodze zdoła jeszcze wtrącić krótką egzegezę wersu z Księgi Liczb, wykorzystując swoją znajomość hebrajskiego (co wzmiankowana tam czerwona krowa, 'adummah', ma wspólnego z prochem ziemi, z którego stworzony został Adam, czyli z 'adamah'?) nie zdziwcie się – wykłada w końcu od lat filozofię i biblistykę na uniwersytecie w Tulonie.

Moje wyliczenie tych talentów, choć chyba poprawne, w żaden sposób nie przygotowuje na spotkanie z Hadjadjem – autorem esejów, sztuk teatralnych i powieści, kompozytorem, świeckim oblatem benedyktyńskim i ojcem dziesięciorga. Trzeba spróbować tej prozy: od opisu spotkania ze zwierzęciem,

eprasa.pl 76d3415895

doświadczenia jego współistnienia („Mówię o poruszeniu małego dziecka, które po raz pierwszy przyjeżdża do gospodarstwa wiejskiego albo do zoo. Załóżmy, że do tej pory znało tylko swoją matkę. A oto odkrywa krowę. […] Albo też sowę w okularach, czyli puchaczyka żółtobrzuchego, który wpatruje się w nie wielkimi oczyma zgorszonej damy […]. Jakże dziecko mogłoby nie stanąć jak wryte, jakże mogłoby nie doznać ekstazy i zarazem przerażenia na widok tych istot, które nie mają nic wspólnego z mamą, a jednocześnie wydają się, tak jak mama, mieć swój świat i swoje dziwaczne zajęcia?”) aż po konkluzję: „największym znakiem Bożej mocy jest właśnie to, że stworzenia nie są tylko znakami. Że zostały stworzone dla nich samych – za nic, chaotycznie i z miłością, według Jego upodobania”.

Ale też – jak pisze Hadjadj stronę dalej – „Najlepszym dowodem na to, że kot pochodzi od Boga, jest to, że kot jest kotem i że można sobie powiedzieć, iż bynajmniej od Niego nie pochodzi”. Sięganie po teodyceę nie jest konieczne, by dostrzegać wdzięk, urodę i niepowtarzalność królestwa zwierząt i jego poddanych. Na pewno niezbędna jest po temu uważność, pasja i wiedza – na co dowodem są kolejne książki Marka Maruszczaka.

To nazwisko może być nieobce – pierwszy z tomów serii która, mam nadzieję, trwać będzie przez dekady, czyli „Głupie ptaki Polski”, ukazał się przed dwoma laty; niemała jest też liczba osób, które rozpoczynają dzień od lektury kolejnego wpisu na stronie „Zwierzęta są głupie i rośliny też”, której bohaterami bywają stworzenia świata całego (np. na 1 czerwca, z okazji Dnia Dziecka, opisany tam został aksolotl, czyli „cmok wodny, Piotruś Pan wśród zwierząt i hydra akwariowa”).

Już jeden tytuł i pół zdania ukazują, mam nadzieję, niepodrabialny styl tych wpisów: Maruszczak – było nie było – doktor językoznawstwa, perfekcyjnie podrabia ton malkontenta. Nie ma w jego książkach (na szczęście) szczebiotów, rozczulań i miziań, które z buduarów zawędrowały do sporej części publikacji oświatowych i programów przyrodniczych: nie, „zwierzęta są głupie”, zżerają kwiaty, owoce i korzenie, śmiecą, brudzą i paskudzą, by już nie wspominać o innych konsekwencjach ich działań.

Co więcej, ten ciąg narzekań, grymasów, uszczypliwości i pretensji przybiera rozmiary kosmiczne: Maruszczak konsekwentnie uderza w ton malkontenta, który ma za złe zwyczajowym podejrzanym: polskiej reprezentacji piłkarskiej, urzędnikom, politykom i ideologom, ludziom jako gatunkowi (bo zaśmieca i niszczy naturę wokół), wielkim potęgom w dziejach (bo, statystycznie, zniszczyły najwięcej: wiemy, kto strzelał do nogi okapi w afrykańskich dżunglach) oraz Polakom (wiadomo: skłóceni, skłonni do wypitki i naburmuszeni), ba, również sobie (nie potrafi opanować namiętności do chałwy). Dostaje się dyskontom, ludziom nie używającym dezodorantu, autorom głupich reklam, źle parkującym kierowcom, roszczeniowym „madkom”, babom z Radomia, Putinowi i Trumpowi. Autor „Głupich zwierząt Polski” sięga po wszelkie możliwe nieżyczliwe stereotypy (przebiegli Francuzi, okrutni Niemcy, tchórzliwi Czesi, fałszywi rudzielcy), dosypuje sporo socnostalgicznych wyobrażeń Polaków (skarpetki do sandałów, reklamówka z Biedronki, regał z meblościanki, parawan na plaży w Bułgarii), doprawia trzema tuzinami polskich, budzących niezmienną radość „skrzydlatych fraz” (od „pięć piw poproszę” po „komu świecisz, mnie czy sobie”) oraz bohaterami polskich memów (nosacz, Ferdek Kiepski, niedzielny obiad) – i tworzy z tego wspaniałą, autoironiczną mieszankę, prześmieszny mizantropiczny monolog.

Najdziwniejsze, że udaje mu się w ten sposób przekazać, z czułością i zachwytem, mnóstwo faktów o zwierzętach i roślinach – a w najnowszym tomie o owadach. O tym, jak śmiesznie się nazywają i co jedzą, jak zatruwamy je na co dzień chemią i monokulturą, jak usiłują zachować gatunek (a inwencja owadów jest w tej dziedzinie naprawdę niezrównana!). „Świerszcz to ostatni z trójki koniokształtnych dziadów, które ludzie mylą ze sobą. Najtrudniej go zobaczyć, bo po pierwsze, jest prawie całkiem czarny, a po drugie, przez cały dzień siedzi pod ziemią i wychodzi tylko wieczorem, żeby trochę pograć, jak górnik w Barbórkę. […] Jest w Polsce coraz rzadszy, gdyż źle znosi stosowanie środków owadobójczych na polach. No kto by pomyślał”. Otóż to: monolog zgryźliwego wuja pełen jest tak naprawdę wiedzy, sympatii i żalu.

Fabrice Hadjadj, „Bóg i jego menażeria. Summa zooteologiczna”, przeł. Agnieszka Kuryś, Wydawnictwo W drodze, Poznań 2026.

Marek Maruszczak, „Głupie robaki (i inne takie) Polski. Przewodnik świadomego obserwatora”, Znak, Kraków 2026.

eprasa.pl 76d3415895

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **9 CZERWCA** zdarzyło się:

1942 – w nocy z 8 na 9 czerwca w okolicy osady Kamienna Karczma na Pomorzu członkowie polskiego ruchu oporu z Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski" dokonali zamachu na pociąg, którym miał jechać Adolf Hitler. Ponieważ plan podróży Hitlera został przez niego zmieniony w ostatniej chwili, zamachowcy wysadzili w powietrze inny skład.

Fot. Wikipedia

Order, który nie zawsze trafiał WE WŁAŚCIWE RĘCE

5 kwietnia 2023 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył Wołodymyra Zełenskiego Orderem Orła Białego. Prezydent RP mówił wówczas m.in.: – Z punktu widzenia tego odznaczenia, najbardziej w Polsce honorowego, z całą pewnością jesteś jedną z **najbardziej znamienitych** osób, które to oznaczenie otrzymały. Jest to dla mnie zaszczyt, że mogłem ci je w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej wręczyć.

Sebastian Reńca

Trzy lata później ukraiński prezydent podjął decyzję o nadaniu ukraińskiej jednostce imienia „Bohaterów UPA", co wywołało w Polsce konsternację i ostrą reakcję prezydenta Karola Nawrockiego, który zapowiedział, że chce, by jednym z punktów posiedzenia Kapituły Orderu Orła Białego (które odbędzie się 8 czerwca) było odebranie tego orderu Zełenskiemu.

„Śmierć Lachom!"

W naszym kraju „bohaterowie UPA" kojarzą się jednoznacznie z mordercami. Wołyń w 1943 r. spłynął krwią mieszkających tam Polaków. Ukraińska Powstańcza Armia miała

eprasa.pl 76d3415895

jeden cel i hasło – „Śmierć Lachom! Chwała Ukrainie!”. Opisy tego, co działo się na tamtych ziemiach, są straszne. Metody mordowania mężczyzn, kobiet i dzieci są tak brutalne, że trudno o nich czytać. Po rzeziach ukraińskie chłopstwo rabowało wszystko, co tylko można było zabrać z polskich domów, a po spalonych polskich wsiach nie zostawał żaden ślad.

Budowanie tożsamości i historii na dziejach formacji, której „bohaterstwo” polegało na bestialskim mordowaniu cywilów, jest czymś strasznym, ale nie odosobnionym. Litwini również to robią. Tamtejsza formacja – Związek Strzelców Litewskich, czyli Szaulisi – byli odpowiedzialni za masowe mordy na polskich obywatelach (żydach i chrześcijanach) w czasie II wojny światowej. Formacja reaktywowana w 1989 r. istnieje do dzisiaj na Litwie. Zarówno jeden, jak i drugi naród ma ogromny kompleks na punkcie polskości, czego wyrazem są częste ataki na ślady polskiej przeszłości tamtych ziem oraz budowanie historycznej tożsamości na antypolskości.

Decyzja Zełenskiego jest więc policzkiem wymierzonym w Polskę, w której kolejne rządy ignorowały narastający na Ukrainie, szczególnie tej zachodniej, kult nacjonalistów kolaborujących z III Rzeszą i winnych ludobójstwa. Dlatego decyzja prezydenta Nawrockiego jest ze wszech miar słuszna i zasadna.

Odznaczeni Rosjanie

W ponad trzystuletniej historii Orderu Orła Białego nadawano go wielokrotnie, zarówno rodakom, jak i obcokrajowcom. Najwyższe polskie odznaczenie ustanowione przez króla Augusta II Mocnego w 1705 r. od razu stało się najważniejsze nie tylko nad Wisłą, ale też w ogóle w ówczesnej Europie. „Bardzo szybko Order Orła Białego uznany został nie tylko w Rzeczypospolitej za upragnione wyróżnienie. Również w Europie zaliczał się do najważniejszych obok Złotego Runa, Podwiązki czy duńskiego Słonia. Piotr I należał do pierwszych odznaczonych” – można przeczytać w biografii króla Augusta II autorstwa Jacka Staszewskiego.

Car Piotr I czynił sobie z Rzeczypospolitej prywatny folwark dzięki jednemu z najgorszych polskich królów, czyli Augustowi II Mocnemu. Car i król znali się, niejednokrotnie ze sobą pili i knuli, np. w roku 1698 spotkali się w Rawie Ruskiej, a tam – jak pisał ówczesny pamiętnikarz: „Tam z sobą popijając, wiecznej przyjaźni zawzięli związek umówiwszy między sobą sekretnie wojnę ze Szwedem”. Za chwilę zaczął się wiek XVIII, który w swej końcówce przyniósł trzeci i ostatni rozbiór Polski.

To za czasów panowania Augusta II i Piotra I doszło do tzw. sejmu niemego (zwanego przez mistrza bon motów Ryszarda Petru „sejmem głuchym”). Na sejmie, na którym przemawiał tylko jeden człowiek – marszałek Stanisław Ledóchowski, nie tylko ograniczono przyboczną gwardię saską króla, ale również armię koronną. „Dwudziestoczterotysięczna w teorii armijka rozległej Rzeczypospolitej liczyła więc od tej pory najwyżej dwanaście tysięcy szabel oraz bagnetów. Państwa ościenne prześcigały się wówczas w wystawianiu ogromnych, znakomicie wyćwiczonych wojsk stałych” – konstatował Paweł Jasienica w swej „Rzeczypospolitej Obojga Narodów”.

CZY UDA SIĘ PO RAZ PIERWSZY ODEBRAĆ CUDZOZIEMCOWI NAJSTARSZE I NAJWYŻSZE ODZNACZENIE PAŃSTWOWE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ?

Rosjanie wielokrotnie byli honorowani Orderem Orła Białego, to chyba najliczniejsza nacja odznaczona w ten sposób poza Polakami. Wśród uhonorowanych w ten sposób byli: caryca Katarzyna I, carowie Piotr II i Piotr III, Aleksander I.

Ostatni król Rzeczypospolitej Stanisław August Poniatowski udekorował Orderem Orła Białego dwóch arcywrogów naszego kraju, rosyjskich ambasadorów w Warszawie: Kaspra von Salderna oraz Nikołaja Repnina. Ten ostatni – jak pisał wielki historyk Marian Kukiel – niejednokrotnie demonstrował, „że w Warszawie tolerowany będzie tylko rząd posłuszny dyktatowi Petersburga”. W końcu Orderem Orła Białego Poniatowski obdarował swą byłą kochankę carycę Katarzynę II, kobietę, która jak nikt inny przyczyniła się do wymazania Polski z mapy Europy, bo Polski nienawidziła, i która, co podkreślał Kukiel: „przy

W CAŁEJ HISTORII TEGO ODZNACZENIA TYLKO RAZ ZDARZYŁO SIĘ, ŻE ZOSTAŁO ODEBRANE JEGO KAWALEROWI.

eprasa.pl 76d3415895

każdym z trzech rozbiorów była egzekutorem: łamała opór Polaków, opanowywała terytorium, wydawała kawały w ręce jej wspólników". W końcu król, zwany przez Katarzynę II „woskową kukłą", przypiął Order Orła Białego do piersi Aleksandra Suworowa, rzeźnika, który w czasie kościuszkowskiej irredenty wyrzynał ludność warszawskiej Pragi.

Wśród odznaczonych nie brakowało również Prusaków, jak chociażby król Prus Fryderyk II Wielki, który wraz z Rosją i Austrią dokonał I rozbioru Polski w 1772 r., czego zresztą gratulował mu filozof Wolter, który nazwał go geniuszem.

Po tym, gdy zjednoczona Europa pokonała znienawidzonego francuskiego cesarza Napoleona i Polska straciła nadzieję na niepodległość, której początkiem miało być Księstwo Warszawskie, w czasach Królestwa Polskiego Orderem Orła Białego zawiadywali kolejni carowie: Aleksander I i Mikołaj I. ten ostatni w testamencie pisał do syna Aleksandra: „Nigdy nie dawaj żadnej wolności Polakom". Wtedy to najwyższe polskie odznaczenie trafiło do takich kreatur, jak np. Iwan Paskiewicz czy Nikołaj Nowosilcow. Pierwszy pacyfikował Powstanie Listopadowe, a drugi młodych konspiratorów, wileńskich filomatów i filaretów, wśród których był wielki polski poeta Adam Mickiewicz.

Duce i cesarz

W ciągu dwóch dekad Rzeczypospolitej, która odzyskała niepodległość w roku 1918, a utraciła we wrześniu 1939, Order Orła Białego otrzymało blisko 90 cudzoziemców. Wśród nich znalazł się m.in. włoski premier Benito Mussolini.

Kulisy nadania orderu przywódcy włoskich faszystów zdradził nieco Francesco Tommasini, poseł włoski w Warszawie w latach 1919–1923. Tommasini pisał w swej książce „Odrodzenie Polski": „Rokowania z firmami Breda i Spa, które gabinet Władysława Sikorskiego pod koniec maja uważał już za pomyślnie ukończone, zaczęły się przeciągać w sposób nużący, ponieważ wielkie znaczenie tych dostaw, które Włochy otrzymały lub miały otrzymać od rządu polskiego, wywołało niezadowolenie i zazdrość objawiające się nie tylko na polu gospodarczym". Minister spraw zagranicznych Marian Seyda przyznał w rozmowie z włoskim dyplomatą, że wstrzymał wręczenie Mussoliniemu Orderu Orła Białego „nadanego przez gabinet Władysława Sikorskiego, jako dowód wdzięczności względem premiera włoskiego za wystąpienie z inicjatywą uznania wschodnich granic Polski". Ostatecznie „duce" otrzymał order 20 lipca 1923 r.

To samo odznaczenie przyznano młodziutkiemu japońskiemu regentowi Hirohicie, jak pisał Przemysław Mrówka: „niejako przy okazji jego ślubu z księżniczką Nagako". Dwie dekady później zarówno Włochy Mussoliniego, jak i Japonia cesarza Hirohita stały się sprzymierzeńcem III Rzeszy Hitlera, a tym samym znalazły się w sojuszu państw Osi. Polska nawet wypowiedziała wojnę Japonii w grudniu 1941 r., po tym jak japońskie bomby spadły 7 grudnia 1941 r. na najważniejszą bazę amerykańskiej Floty Pacyfiku – Pearl Harbor.

W ROKU 1932 WINCENTY WITOS ZOSTAŁ SKAZANY W TZW. PROCESIE BRZESKIM NA PÓŁTORA ROKU WIĘZIENIA ORAZ UTRATĘ ORDERU ORŁA BIAŁEGO.

UKRAIŃSKI PREZYDENT PODJĄŁ DECYZJĘ O NADANIU UKRAIŃSKIEJ JEDNOSTCE IMIENIA „BOHATERÓW UPA", CO WYWOŁAŁO W POLSCE KONSTERNACJĘ I OSTRĄ REAKCJĘ PREZYDENTA KAROLA NAWROCKIEGO.

Odznaczenie po 1989 r.

Czytając spisy odznaczonych Orderem Orła Białego, zarówno w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jak i w czasie zaborów, dwudziestolecia międzywojennego, rządu polskiego na uchodźstwie, jak i po 1989 r., ma się nieodparte wrażenie, że bardzo często przyznawanie tego odznaczenia państwowego obcokrajowcom było, jest i będzie elementem strategii politycznej.

Za co kolejni prezydenci decydowali się przyznawać Order Orła Białego dziesiątkom cudzoziemców? Najczęściej w uznaniu „znamienitych" lub „wybitnych zasług w rozwijaniu przyjaznych i wszechstronnych stosunków" między naszym krajem a innym.

Wołodymyr Zełenski nie jest pierwszym Ukraińcem, który otrzymał z rąk polskiego prezydenta Order Orła Białego. Aleksander Kwaśniewski odznaczył prezydentów Łeonida Kuczmę i Wiktora Juszczen-

eprasa.pl 76d3415895

kę oraz historyka i publicystę Bohdana Osadczuka. Tego ostatniego „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej”.

Inny historyk, brytyjsko-polski Norman Davies został uhonorowany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, a w szczególności dla przemian demokratycznych w Polsce, za obronę zasad praworządności, godności i niezależności sędziowskiej w czasach PRL-u, za tworzenie państwa prawa w wolnej Rzeczypospolitej Polskiej”.

DECYZJA ZEŁENSKIEGO JEST POLICZKIEM WYMIERZONYM W POLSKĘ, W KTÓREJ KOLEJNE RZĄDY IGNOROWAŁY NARASTAJĄCY NA UKRAINIE, SZCZEGÓLNIE TEJ ZACHODNIEJ, KULT NACJONALISTÓW KOLABORUJĄCYCH Z III RZESZĄ I WINNYCH LUDOBÓJSTWA.

Orderem Orła Białego został również uhonorowany Szewach Weiss, który urodził się w Polsce, a zmarł w Izraelu. Prezydent Andrzej Duda, wręczając Weissowi odznaczenie w Jerozolimie, powiedział m.in.:

– Jest pan profesor synem narodu żydowskiego i polskiej ziemi. Jest pan wielkim patriotą państwa izraelskiego, ale jednocześnie nigdy nie zapomniał pan o ziemi, która była pana matką.

Jak na razie Karol Nawrocki odznaczył tylko jednego obywatela obcego państwa. Jest nim Andrzej Poczobut, który niedawno w końcu znalazł się na wolności. Prezydent wręczył dziennikarzowi Order Orła Białego, w czasie gdy ten jeszcze siedział w białoruskim więzieniu.

– To odznaczenie zaoczne dla Andrzeja Poczobuta jest też ważne dla mnie jako dla prezydenta Polski i – myślę – dla całej Rzeczypospolitej, która wysyła jasny sygnał, że Polska zawsze będzie upominać się o swoich synów, o tych, którzy dla Polski żyją, którzy walczą o ojczysty język i dla których polskość warta jest także cierpienia w białoruskim więzieniu – mówił 11 listopada 2025 r. Karol Nawrocki.

Odebrany tylko raz

Order Orła Białego, odkąd został ustanowiony na początku XVIII stulecia, trafił do setek osób. Ludzi prawych, ale też kreatur. Ludzi wybitnych, ale również przypadkowych.

W całej historii tego odznaczenia tylko raz zdarzyło się, że zostało odebrane jego kawalerowi.

W roku 1932 Wincenty Witos został skazany w tzw. procesie brzeskim na półtora roku więzienia oraz utratę Orderu Orła Białego przyznanego mu w 1921 r. „za wybitne zasługi, położone dla Rzeczypospolitej na polu działalności politycznej i państwowej, zwłaszcza w okresie groźnej inwazji bolszewickiej”. Wcześniej najważniejszy polityk Polskiego Stronnictwa Ludowego trafił do więzienia w twierdzy w Brześciu, w której komendantem, panem, władcą i sadystą był płk Wacław Kostek-Biernacki, którego historyk Władysław Pobóg-Malinowski krótko scharakteryzował jako człowieka „o umyśle prymitywnym”. Po wyroku Witos wyjechał z kraju. Wrócił do ojczyzny kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej.

Gdy wybuchła wojna i Polska została ponownie rozebrana przez Niemcy, tym razem nazistowskie oraz Rosję, tym razem komunistyczną, prezydent Władysław Raczkiewicz dekretem podpisanym w Paryżu o amnestii dla byłych więźniów brzeskich z 31 października 1939 r., przywrócił skazańcom „wszystkie prawa obywatelskie, honorowe, godności, odznaczenia i ordery”. Zrobił to „celem zatarcia rozterek przeszłości oraz dokonania pełnego zjednoczenia narodowego”.

Order Orła Białego, który został skonfiskowany Witosowi, nie wrócił już do niego. Po dziesięcioleciach trafił do jego potomków. Stało się to piętnaście lat temu, gdy prezydent Bronisław Komorowski przekazał insygnia Orderu Orła Białego rodzinie Witosa. Prezydent mówił podczas tamtych uroczystości w Spale, że „ojczyzna nagradza za zasługi i powinna nagradzać w ten sposób, że potem już nikt tego nie kwestionuje”. Niestety, historia niejednokrotnie pokazała, że ojczyzna, czyli kapituła Orderu Orła Białego, może się mylić i się myli.

ROSJANIE WIELOKROTNIE BYLI HONOROWANI ORDEREM ORŁA BIAŁEGO, TO CHYBA NAJLICZNIEJSZA NACJA ODZNACZONA W TEN SPOSÓB POZA POLAKAMI.

Czy uda się po raz pierwszy odebrać cudzoziemcowi najstarsze i najwyższe odznaczenie państwowe Rzeczypospolitej Polskiej? Czy tym kimś będzie prezydent Zełenski, polityk, który honoruje morderców z UPA? Wkrótce się o tym przekonamy.

eprasa.pl 76d3415895

Zachód powoli odchodzi od postulatów RUCHU TRANS

Po trwającym 15 lat entuzjazmie dotyczącym zmieniania płci nie tylko dorosłym, ale i dzieciom, coraz więcej nowych faktów niepokoi kolejne instytucje, psychologów i naukowców. **Sceptycyzm widać** nie tylko ze strony organizacji medycznych oraz systemów ochrony zdrowia zachodnich państw, ale i wcześniejszych zwolenników ruchu transseksualnego, którzy rewidują swoje podejście.

Łukasz Sakowski

Przykładowo w listopadzie 2025 roku tranzycji dzieci zakazała Nowa Zelandia, co tamtejszy minister zdrowia uzasadniał brakiem dowodów na korzyści płynące ze zmiany płci. Wcześniej podobne zakazy lub ograniczenia wprowadziły: Finlandia, Szwecja, Dania, Wielka Brytania, Francja, Holandia, Australia i USA.

Sprawozdawczyni ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt zaniepokojona

Reem Alsalem, specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt, oświadczyła, że postulaty ruchu trans „uderzają w podstawowe zasady praw dziecka" i mają „katastrofalne konsekwencje" – poinformował „The British Medical Journal". Chodzi o podejście proponowane przez psychologów i lekarzy sprzyjających ruchowi trans, że każde dziecko, które przejawia jakieś zachowania typowe dla płci przeciwnej, powinno być traktowane jako transseksualne. Pomimo że liczne badania naukowe, publikowane m.in.

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 76d3415

w czasopismach „Journal of the American Academy of Child & Adolescent Psychiatry", „International Review of Psychiatry" czy „Developmental Psychology", wykazały, że od 60% do ponad 90% dzieci i młodzieży z dysforią płciową wyrasta z niej z wiekiem.

W końcowym raporcie pediatry dr Hilary Cass, przygotowanym na zlecenie brytyjskiej NHS [National Health Service (Narodowa Służba Zdrowia) – przyp. red.], zaleca się nie tylko zakaz zmiany płci u niepełnoletnich w UK, ale i zakaz zmiany zaimków w szkołach. Na Wyspach doszło bowiem do nagłośnionych skandali, że nauczyciele bez wiedzy rodziców zachęcali uczniów do mówienia w formach żeńskich, a uczennice w formach męskich. Wielka Brytania wprowadziła wnioski z raportu w życie i już nowy, lewicowy rząd laburzystów ustanowił całkowity zakaz zmiany płci u niepełnoletnich. Natomiast brytyjska służba zdrowia zleciła kontrolę prywatnych przychodni, by sprawdzić, czy nie łamią nowego prawa – poinformował „The Guardian".

Rok później, w trakcie zamieszania na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu, Reem Alsalem krytycznie wypowiedziała się też o udziale mężczyzn identyfikujących się jako kobiety w kobiecym sporcie. Mężczyźni, nawet jeśli deklarują, że czują się kobietami, mają ewidentne przewagi fizyczne związane z umięśnieniem, gęstością kości, wytrzymałością stawów, umiejscowieniem tkanki tłuszczowej, jak również objętością płuc i serca. Różnice te zaczynają się kształtować już w życiu płodowym i nawet wieloletnie branie żeńskich hormonów oraz operacja chirurgicznej zmiany płci nie wymazują tych dysproporcji płciowych. A to prowadzi do wniosku, że konkurencja mężczyzn trans i mężczyzn z zaburzeniami rozwoju płci (jak w przypadku Imane Khelif) łamie zasadę uczciwej rywalizacji.

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy zakaz udziału mężczyzn w kobiecym sporcie uchwaliły liczne krajowe i międzynarodowe organizacje sportowe. Należą do nich np. Międzynarodowa Unia Kolarska, Światowa Federacja Pływacka, Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych, Światowa Organizacja Bokserska, Angielskie Stowarzyszenie Hokeja, Brytyjski Związek Piłki Nożnej. W odpowiedzi na takie przepisy transseksualni mężczyźni wnieśli zażalenia wobec zapadłych decyzji, a amerykańska transpływaczka Lia Thomas oskarżyła organizacje pływackie o „transfobię".

LICZNE BADANIA NAUKOWE WYKAZAŁY, ŻE OD 60% DO PONAD 90% DZIECI I MŁODZIEŻY Z DYSFORIĄ PŁCIOWĄ WYRASTA Z NIEJ Z WIEKIEM.

Kraje skandynawskie jako pierwsze biły na alarm

Wielka Brytania nie była pierwszym państwem, które zakazało zmiany płci u dzieci. Na początku zrobiła to Finlandia, w roku 2020. Przeprowadzono tam serię badań, z których wynikało, że wzrost liczby dzieci identyfikujących się jako trans wynosił ponad tysiąc procent, a skutki uboczne kuracji hormonalnej zmiany płci obejmują m.in. osteoporozę czy choroby nerek, serca i wątroby. Fińscy badacze sprawdzili i opisali też w periodyku „Frontiers in Psychology" funkcjonowanie nastolatków identyfikujących się jako trans w relacji do swoich rówieśników. Okazało się, że przejawiają one nieadekwatną i częstą agresję wobec innych. To zaś sugerowało, że dzieci te mają głębsze problemy psychiczne mogące także być przyczyną dysforii płciowej i chęci zmiany płci jako formy ucieczki od trudnej rzeczywistości.

W 2021 roku zakaz podawania blokerów dojrzewania w celu zmiany płci wprowadził w swoich placówkach Instytut Karolinska. To szwedzki uniwersytet medyczny i podlegające mu szpitale znane na skalę międzynarodową z przyznawania Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. W kolejnym roku zakaz wprowadził cały system ochrony zdrowia Socialstyrelsen w Szwecji, a w 2023 roku norweska Komisja Zdrowia Ukom opublikowała własny raport, w którym zaleciła zmiany prawne na wzór Finlandii i Szwecji. W 2023 roku także Dania wprowadziła ograniczenia w dostępie do zmiany płci.

Ale na uwagę zasługuje i to, co wydarzyło się w Tajlandii. Kraj ten w międzynarodowej wyobraźni silnie kojarzony jest właśnie z środowiskami trans. Jako transseksualne El Dorado państwo to jako pierwsze zaczęło borykać się z negatywnymi konsekwencjami zjawiska, a tamtejsi lekarze i naukowcy byli pionierami w obserwowaniu, jak niebezpieczne jest zmienianie płci na dużą skalę. W związku z tym Tajska Rada Lekarska wydała w 2009 roku nowe przepisy zakazujące tranzycji przed 18. rokiem życia. Co więcej, jeśli chętny na taką operację jest przed 20. rokiem życia,

eprasa.pl 76d3415895

musi otrzymać specjalne pozwolenie rodzica. Wprowadzono też wymóg przedstawienia dwóch niezależnych opinii psychiatrycznych oraz rocznego okresu obserwacyjnego przez przeprowadzeniem operacji. Co Tajowie odkryli w 2009 roku, Zachód odkrywa teraz.

Sądy przeciwko ideom ruchu trans

Przeciw postulatom ruchu trans głos zabrały także sądy, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Największym echem odbił się w mediach przypadek orzeczenia przez brytyjski Sąd Najwyższy w 2025 roku, że płeć jest tylko biologiczna. Z kolei Sąd Najwyższy w USA podtrzymał w 2025 roku stanowe zakazy zmiany płci u niepełnoletnich w czerwonych stanach. A nawet stany rządzone przez Demokratów wprowadzają wyraźne restrykcje. „Szpitale ograniczają medycynę transgenderową, nawet w stanach niebieskich" – pisał „The New York Times".

Prywatne procesy wygrywały poszczególne osoby sądzące się z pracodawcami za wyrzucenie z pracy z powodu „transfobii". Odszkodowanie w wysokości 100 tysięcy funtów otrzymała Maya Forstater, która straciła zatrudnienie za stwierdzenie, że płeć jest niezmienna. To właśnie w jej obronie wypowiedziała się J.K. Rowling, od czego zaczęły się tzw. TERF wars, czyli medialno-aktywistyczna wojna pomiędzy feministkami, których ikoną stała się Rowling, a transseksualistami. Po stronie Rowling opowiedzieli się geje i lesbijki, a za transseksualistami optowali zwolennicy kultury woke.

Niemniej choć UK, Francja, Belgia, Holandia, Dania, Szwecja, Norwegia, Finlandia, Australia, Nowa Zelandia czy USA systematycznie ograniczają dostęp do tranzycji lub zakazują poszczególnych jej elementów dla niepełnoletnich, to istnieją pojedyncze państwa Zachodu, które wybrały inną drogę. W Hiszpanii wprowadzono prawo umożliwiające zmianę płci na żądanie, bez badań medycznych, od 12. roku życia za zgodą sądu, od 14. roku życia za zgodą rodziców, a od 16. roku życia bez ograniczeń. Ustawa Ley Trans została wprowadzona pomimo protestu Hiszpańskiego Towarzystwa Pediatrycznego, Hiszpańskiego Towarzystwa Psychiatrii Dzieci i Młodzieży czy Kolegium Medycznego w Madrycie.

Drugi kraj idący wbrew wynikom badań naukowych i obawom etycznym to Niemcy. W 2024 uchwalono tam prawo pozwalające na tranzycję na żądanie od 14. roku życia, o ile uzyska się zgodę rodziców. Dla pełnoletnich nie ma żadnych ograniczeń. Zanim Bundestag przegłosował tę ustawę, swój sprzeciw wyraziło 128. Niemieckie Zgromadzenie Medyczne, którego głos nie został wysłuchany.

DYSFORIA PŁCIOWA, CZYLI NIECHĘĆ DO SWOJEJ PŁCI, MOŻE BYĆ NASTĘPSTWEM ZABURZEŃ EMOCJONALNYCH, POZNAWCZYCH I OSOBOWOŚCIOWYCH.

W WIELKIEJ BRYTANII LEWICOWY RZĄD LABURZYSTÓW USTANOWIŁ CAŁKOWITY ZAKAZ ZMIANY PŁCI U NIEPEŁNOLETNICH.

Na tle krajów wycofujących się z tranzycji w opozycji stoi też Polska. Ministerstwo Sprawiedliwości w okresie władzy Adama Bodnara wydało rozporządzenie, zgodnie z którym sprawy o zmianę płci są traktowane priorytetowo. Wkrótce potem Sąd Najwyższy poszedł jeszcze dalej i ustanowił, że prawna zmiana płci będzie badana nieprocesowo, co dodatkowo ją ułatwia, przyspiesza i pozwala na dokonywanie jej bez psychiatrycznego i seksuologicznego badania przez biegłych sądowych.

Próba zatajenia wyników badań

W marcu 2024 roku międzynarodowa organizacja WPATH, zrzeszająca lekarzy, psychologów i prawników lobbujących na rzecz ułatwienia tranzycji, była w centrum zainteresowania światowych mediów z powodu wycieku wewnętrznych danych, w tym zapisów z wideokonferencji i e-maili. Wynikało z nich, że członkowie tej organizacji wiedzą, że leki do zmiany płci powodują nowotwory wątroby, osteoporozę, zaburzenia lękowe czy depresję, a mimo to ją polecają. Szczególne

eprasa.pl 76d3415895

oburzenie wzbudził przypadek lekarza WPATH z Kanady, który wprost określał, że dzieci nie są w stanie wyrazić świadomej zgody na zmianę płci, bo gdy mówi im o konsekwencjach zdrowotnych, takich jak utrata płodności, to czuje się, jakby „mówił do ściany". A mimo to on i inni lekarze WPATH i tak kierowali na to dzieci i polecali tranzycję jako eksperci.

Rok później doszło do kolejnego skandalu z udziałem WPATH. „The Economist" i inne światowe media opisały, jak WPATH naciskała na badaczy Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, aby nie publikowali nowych wyników, z których jasno wynikało, że tranzycja nie prowadzi do poprawy zdrowia psychicznego. Naciski na niezależność i wolność badań naukowych to jedno, drugą sprawą był sam fakt próby manipulacji nauką. Badania te były opłacone z finansów publicznych USA, co dodatkowo oburzyło opinię publiczną. Ale na wytycznych tej organizacji do dziś bazuje Polskie Towarzystwo Seksuologiczne, a wiceprezes PTS dr hab. Bartosz Grabski jest członkiem WPATH i jednym z czołowych orędowników zmiany płci w Polsce.

SKUTKI UBOCZNE KURACJI HORMONALNEJ ZMIANY PŁCI OBEJMUJĄ M.IN. OSTEOPOROZĘ CZY CHOROBY NEREK, SERCA I WĄTROBY.

Coraz mniej osób identyfikuje się jako trans i niebinarni

Francuska Akademia Medyczna w roku 2022 wydała oświadczenie ostrzegające przed zmianą płci. Zwłaszcza u dzieci i młodzieży, bo, jak podano, jest to często chęć motywowana „modą", czyli zarażaniem społecznym (social contagion). I tak, jak w ostatnich 15 latach notowano kilkutysięczne wzrosty odsetka młodzieży deklarującej się jako trans (w Szwecji niecałe 1700%, w Wielkiej Brytanii 4400%, w Belgii 4200%), tak w tym roku po raz pierwszy badania wykazały wyraźny spadek. Opublikowany przez Centre for Heterodox Social Science Uniwersytetu w Buckingham raport pt. „Spadek tożsamości transpłciowej i queerowej wśród młodych Amerykanów" wskazuje, że szczyt młodzieży deklarującej transseksualizm lub niebinarność przypadł na rok 2023. Przez ostatnie dwa lata liczba uczniów identyfikujących się jako niebinarni spadła o 6 pp.: z 9% do 3%.

Warto przy tym zauważyć, że w badaniach odnotowano stały odsetek gejów i lesbijek, co stanowi dowód, że w przeciwieństwie do transseksualizmu homoseksualność to stabilna cecha biologiczno-psychologiczna. Za niewielki wzrost odsetka deklarowanej heteroseksualności odpowiadał natomiast spadek deklaracji biseksualności, co naturalnie prowadzi do wniosku, że część osób biseksualnych z czasem wybiera związek z osobą płci przeciwnej i określa siebie jako hetero.

Hipotezę o biologicznych czy wrodzonych podstawach transseksualizmu obalają nie tylko dramatycznie pikujące to w górę, to w dół statystyki. Jak dotąd nie wskazano żadnego silnego metodologicznie dowodu, by transpłciowość była wrodzona. Istnieją za to kolejne publikacje naukowe wskazujące, że dysforia płciowa, czyli niechęć do swojej płci, może być następstwem zaburzeń emocjonalnych, poznawczych i osobowościowych u osób autystycznych, osób z zaburzeniem osobowości borderline i narcyzmem, a także u cierpiących na depresję, zaburzenia lękowe i zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, w tym dysmorfofobię. Stan dysforii płciowej indukuje lub pogłębia także syndrom derealizacji-depersonalizacji. Z kolei hipotezy oparte na neuroobrazowaniu mózgu osób trans zostały obalone w pracy naukowej z 2025 r. w czasopiśmie „Archives of Sexual Behavior".

JAK DOTĄD NIE WSKAZANO ŻADNEGO SILNEGO METODOLOGICZNIE DOWODU, BY TRANSPŁCIOWOŚĆ BYŁA WRODZONA.

Transgenderowe „szaleństwo tłumów" – jak nazwał to Douglas Murray, czy też „genderowy szał" opisany przez byłego transseksualistę Oliego Londona – zaczęło się wypalać. Wszystko wskazuje na to, że za kilkanaście lat prawdopodobnie będziemy je wspominać podobnie jak łysenkizm, ruch antyszczepionkowy czy grupy poszukiwawcze UFO.

eprasa.pl 76d3415895

Ludzie skądś

Lato 2016 roku. Tydzień do urlopu. Nieświadomy wiekopomności chwili, otworzyłem firmowy czat. Zamiast wyczekiwanych raportów czekał tam na mnie rozłożony na 40 wiadomości **sąd nad Wielką Brytanią**. Dzień wcześniej ogłoszono wyniki referendum: 51,89% biorących w nim udział Brytyjczyków opowiedziało się za opuszczeniem Unii Europejskiej.

Ferdynand Fodder

Zdrajcy! Szuje! Ludzie nieprzyzwoici! Nasz wewnętrzny kanał komunikacji stał się niespodziewanie jednym z frontów wielkiego, międzynarodowego ruchu oporu przeciw brytyjskiej bezmyślności. Gdy w gąszczu komunikatów próbowałem doszukać się potrzebnych mi plików, jeden z moich współpracowników snuł opowieść o tym, co należałoby poczynić z tym parszywym Albionem (w skrócie: użyć francuskiego arsenału nuklearnego). Zapytany o powód wzmożenia odpowiedział, że bardzo chciał tam pojechać, „ale już nie może". Gdy żachnąłem

Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 76d3415895

się, że Wielka Brytania i tak nie należała do strefy Schengen, uciął: „Tu chodzi o zasady". Następnego dnia nie zalogował się do pracy – musiał przepracować polityczne emocje. Mój urlop opóźnił się o dobę.

W kolejnych dniach siedziałem cicho, robiłem swoje. Nie dawałem po sobie poznać, że też nie byłem wobec sprawy obojętny. Sęk w tym, że przeżywałem ją nieco inaczej niż reszta zespołu. Filtrowałem ją przez to, jak odbierał ją nasz salon. Oglądanie twarzy rodzimych komentatorów z przerażeniem odkrywających, że reakcyjny motłoch ma coś do powiedzenia „także na Zachodzie", dostarczało mi złośliwej satysfakcji. Szczerzyłem zęby, gdy „Polityka" nazwała referendum „klęską demokracji". W tym samym numerze Norman Davies wyliczał, gdzie wyprowadzać będą się jego znajomi (dwaj jego koledzy „załatwiali sobie paszporty unijne"). Opowiadał, że jego syn obudził go rano, by oznajmić, że ma paszport amerykański i może uciekać do Stanów. Daviesowie nie wiedzieli jeszcze, że cztery miesiące później Ameryka wybierze na urząd prezydencki Donalda Trumpa.

Do czasu, gdy rozpocząłem wreszcie urlop, brexitowa panika w dużej mierze przycichła. Media skupiły się na sprawach krajowych, gdzie rozkręcił się na dobre tzw. „kryzys praworządności" – choć trudno nazwać go sprawą czysto krajową, zważywszy na udział zbrojnego ramienia Komisji Europejskiej. Z tyłu głowy pozostała mi jednak mętna myśl, której nie potrafiłem doprecyzować ani nazwać. Myśl o tym, że zarówno brexit, jak i reakcja na niego, ujawniły nam wówczas coś ważnego.

Droga dokądś

Z pomocą przybył mi dopiero brytyjski publicysta David Goodhart, który w 2017 roku w książce „The Road to Somewhere" [Droga dokądś], precyzyjnie zdefiniował jedno z kluczowych pęknięć naszych czasów. Według Goodharta, społeczeństwo podzieliło się na dwie, nieprzystające do siebie grupy: „Anywheres" [ludzi skądkolwiek] oraz „Somewheres" [ludzi skądś] – by przyjąć tłumaczenie terminów zaproponowane przez redaktora Macieja Kożuszka.

„Ludzie skądkolwiek" to profesjonaliści, nowa klasa menedżerska. Mobilni, ambitni, niezainteresowani miejscami, z których pochodzą. Swoją tożsamość budują przez kolekcjonowanie dyplomów, wspinanie się po szczeblach kariery, rozbudowę osobistego portfolio – czyli przez to, co idealnie wpisuje się w wizję świata elit i korporacji (nawet gdy do tego świata nie należą). Szczególnie dobrze czują się na lotnisku, na hali odlotów. Zmiana miejsca zamieszkania z Oksfordu na Nowy Jork (a potem z powrotem, gdy Amerykanie wybiorą już „Pomarańczowego") stanowi jedynie techniczną korektę w ich życiorysie, niepociągającą za sobą większych konsekwencji. Korzenie są dla nich ograniczeniem – chętnie więc je wyrywają.

„Ludzie skądś" opierają z kolei swoją tożsamość na tym, co odziedziczyli. Na rodzinie, dzielnicy, parafii, zakładzie pracy, języku, obyczaju, pamięci. Nie oznacza to braku ambicji. Człowiek jest dla nich po prostu czymś więcej niż projektem, który trzeba nieustannie rozwijać i modyfikować. Gdy świat wokół nich zmienia się zbyt szybko – oponują. Nie chcą, by znajome kody życia społecznego naruszane były bez ich zgody. Strach przed utratą ukochanego domu motywuje ich do oporu przeciwko zmianom, które inicjują „ludzie skądkolwiek", patrzący na tych „skądś" z ledwie skrywaną pogardą: „Jak można być aż tak do czegoś przywiązanym?".

Grupy te, wbrew pozorom, nie pokrywają się z tradycyjnym podziałem na prawicę i lewicę (tym bardziej że niemała część społeczeństwa zawieszona jest pomiędzy tymi kategoriami). Fundamentem tego starcia jest zderzenie dwóch typów dumy: dumy z tego, kim się jest, i dumy z tego, co się osiąga. Niektórzy odczuwają obie, w różnych proporcjach; inni – tylko jedną z nich. Choć współczesna kultura, dopasowana do potrzeb „ludzi skądkolwiek", promuje głównie ten drugi typ, to ten pierwszy jest powszechniejszy. „Ludzi skądś" jest dużo więcej, choć posiadają o wiele mniej władzy.

Goodhart pisał o Wielkiej Brytanii, ale rozpoznany przez niego wzór pasuje także do innych

„LUDZIE SKĄDKOLWIEK" SĄ MOBILNI, AMBITNI, NIEZAINTERESOWANI MIEJSCAMI, Z KTÓRYCH POCHODZĄ. SWOJĄ TOŻSAMOŚĆ BUDUJĄ PRZEZ KOLEKCJONOWANIE DYPLOMÓW.

eprasa.pl 76d3415895

społeczeństw zachodnich. Nie sposób nie dostrzec go też w Polsce – z pewną korektą. Dla Goodharta „ludzie skądkolwiek" wykazują się arogancją wobec „ludzi skądś", ignorując ich podmiotowość – nie obsadza on ich jednak w roli szwarcchara-kterów. Naród wyspiarzy posiada odpowiednie rezerwy i strukturalną trwałość, by przetrwać pogoń za postępem i inne szaleństwa swojej elity. Nawet jeśli Brytyjczycy „skądś" ponosić będą konsekwencje tych decyzji – ostatecznie jakoś sobie poradzą.

Polska znajduje się w innym położeniu. W obliczu naszej historii i geografii zachowanie polskiej suwerenności – i sterowności, którą ta nam zapewnia – jest kwestią kluczową, warunkiem długoterminowego przetrwania. Nasze instytucje łatwo zepsuć. Nasi sąsiedzi zawsze wykorzystywali każdą naszą słabość. Nasz margines błędu jest lilipuci, a potencjalne konsekwencje potknięcia – olbrzymie. W polskim interesie, bardziej jeszcze niż brytyjskim, powinno być to, by uczestnicy naszego życia politycznego wiązali swoją przyszłość wyłącznie z naszą państwowością. By wierzyli, że nie są tu tylko przelotem, że zawsze mogą wyciągnąć jeszcze jeden paszport. Jest to tym ważniejsze, że nasze „skądkolwiek" jest nieco inne niż to zachodnie.

Skądkolwiek, byle nie stąd

Polski „człowiek skądkolwiek" jest uciekinierem. Nie ogłasza, że może żyć wszędzie. Krzyczy i błaga, by żyć gdziekolwiek, „byle nie tu". Nawet gdy kurczowo trzyma się tutejszych synekur i zdobyczy, pogardza tym, że nie posiada takich możliwości, jak jego zachodni odpowiednicy. Wstydzi się – i jest w tym wstydzie autentyczny.

Wynika to być może z naszej historii, z jej postkolonialnym posmakiem i pamięcią o komunistycznej biedzie. Podobnie funkcjonuje to przecież w wielu krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Kosmopolityzm zamienia się tu w kompleks i potrzebę akceptacji, w egzamin składany przed kimś, kogo samemu wynosimy do roli egzaminatora. Widać to szczególnie wyraźnie we frakcji „europejskiej" naszej sceny politycznej. Polskie liberalne elity odczuwają nieustanną potrzebę tłumaczenia się zachodniej Europie. Europejskość w Polsce to podległość, bo tak wyrażają ją najbardziej europejscy polscy Europejczycy. Powtarzanie jak mantry, że „Europa to my" w żaden sposób nie zmienia tych zależności, przypominając raczej jakąś formę autoterapii.

Jednocześnie posługujący się tym hasłem „ludzie skądkolwiek" mają trochę racji. Bruksela to „oni", bo jest jak „oni" – jest imperium bez ziemi władającym nad terytorium, które formalnie do niej nie należy (to coś, co często umyka naszej prawicy: eurokraci chcą władać, ale nie wykazują specjalnej potrzeby posiadania tego, nad czym władają). Gdziekolwiek Unia nie wkroczy, wprowadza kamienie milowe, certyfikaty, szkolenia, wdrożenia, kontrakty, ścieżki rozwojowe – pozwalając najwierniejszym eurofitom wchodzić w struktury tak głęboko, że nigdy nie trafią już do wyjścia. Przynosi im wielki dar: uniwersalizację, ostateczne wyzwolenie od bycia „skądś".

Nade wszystko: „projekt europejski" jest projektem odgórnym, antypolitycznym, idealną strukturą menedżerską. Odgrywa demokratyczną pantomimę, ale większość jej uczestników wie przecież, że jego cele zostały określone już dawno temu. „États-Unis d'Europe" [Stany Zjednoczone Europy] – pisał Jean Monnet, pionier europejskiej „skądkolwiekości". Teraz trzeba tylko dobrać odpowiednie środki, nie zmarnować żadnego z nadchodzących kryzysów i pilnować, by nikt niewłaściwy nie dorwał się do sterów – by nie nabruździł żaden „człowiek skądś", zaborczy względem tego, co jego. Cały ten projekt wywodzi się z umysłów ludzi, którzy porzucili swoje korzenie. „Europa to my"? Tylko jeśli „my" to „ludzie skądkolwiek".

Zatomizowani i zarządzani

„Ludzie skądś" żyją według innych zasad. Polityka jest dla nich czymś żywym, bo koszty pomyłek odczuwają na własnej skórze, niemal natychmiast. Dla „zakorzenionych" świat zawsze ostatecznie okazuje się grą o sumie zerowej, choć czasem też chcieliby wierzyć, że może być inaczej. Dostrzegają, że jeśli kapitał płynie do metropolii, to kosztem prowincji. Ich stosunek do tego, czy to dobrze, czy źle, ostatecznie wy-

„LUDZIE SKĄDŚ" OPIERAJĄ SWOJĄ TOŻSAMOŚĆ NA TYM, CO ODZIEDZICZYLI. NA RODZINIE, DZIELNICY, PARAFII, ZAKŁADZIE PRACY, JĘZYKU, OBYCZAJU, PAMIĘCI.

eprasa.pl 76d3415895

znacza to, czy sami są z tej pierwszej, czy drugiej.

W teorii „ludzie stąd" powinni dążyć do tworzenia lokalnych koalicji przeciw „ludziom skądkolwiek" – uciekać od antypolityki w politykę prawdziwą, walczącą o twarde interesy poszczególnych grup społecznych. Skoro łączy ich chęć spędzenia życia na tym samym skrawku ziemi, logika podpowiada, by zapełniali go sprawnymi, solidarnymi strukturami. Powinni, innymi słowy, formować „małe plutony" – budować lokalne spółdzielnie, sieci samopomocy, dbać o tutejsze zasoby, wstępować do związków.

Z tym bywa jednak... nie najlepiej. Żyjemy w rzeczywistości zaprojektowanej przez „ludzi skądkolwiek" i pozwalamy, by ta definiowała nasze priorytety. Goodhart wskazywał, że „Anywheres" przejęli kod źródłowy nowoczesnego państwa i przepisali go tak, by systemowo nagradzał ich własne cechy, a karał cechy tych, którzy nie chcą się przystosować. Cała architektura społeczno-gospodarcza Zachodu zoptymalizowana została pod styl życia i wartości kognitywnej elity: od rynku pracy, przez edukację, po media, rynki kapitałowe i branżę nazywaną dla niepoznaki „społeczeństwem obywatelskim".

Resztki lokalnej spontaniczności wtłaczane są dziś w system NGO-sów, gdzie trafiają pod but biurokracji, kontrolowane grantami, standardami i gąszczem przepisów. Organizacje żyją „od konkursu do konkursu", kształtując swoją działalność nie według lokalnych potrzeb, ale oferty finansowej państwa i zagranicznych funduszy kupujących lojalność względem swojej agendy. Mechanizm przekazywania odpisu podatkowego wykreował przy tym tysiące organizacji-wydmuszek całkowicie ignorujących budowę jakiejkolwiek wspólnoty.

A nasza wspólnota... cóż. Zamiast przeć w kierunku zawiązywania lokalnych form współpracy, postrzegamy się nawzajem raczej jako przeszkody w drodze do sukcesu. Nasze zaufanie do własnego społeczeństwa szoruje po dnie: zaledwie 22 procent z nas uważa, że ludziom można ufać. Nie szukamy kontaktu, unikamy zobowiązań. Nie angażujemy się w wolontariat, coraz rzadziej uczestniczymy w życiu religijnym. Poziom uzwiązkowienia w Polsce pozostaje jednym z najniższych wśród rozwiniętych gospodarek.

NASZE ZAUFANIE DO WŁASNEGO SPOŁECZEŃSTWA SZORUJE PO DNIE: ZALEDWIE 22 PROCENT Z NAS UWAŻA, ŻE LUDZIOM MOŻNA UFAĆ.

Ten trend trzeba odwrócić. Jakkolwiek nie brzmiałoby to jak głos wołającego na puszczy: tylko wspólne, oddolne działanie pozwala tworzyć relacje i mechanizmy, które wzmacniają naszą sprawczość – sprawczość, której bardzo dziś potrzebujemy. Jedyną obroną przed całkowitą menedżeryzacją naszego życia jest powrót do twardych, lokalnych struktur i surowego kapitału społecznego. Polska powstała ze zgliszczy, bo przez wiek niewoli to budowane oddolnie sieci zaufania stały się nośnikiem naszych najważniejszych wartości. Pozwoliły nam przetrwać. Chroniły nas przed złą władzą. Były inspiracją dla Solidarności. Dziś mogłyby pomóc polskim „ludziom skądś" wzmocnić się politycznie w obliczu hegemonii „ludzi skądkolwiek".

Dekadę później

Skąd, w 2026 roku, ten nagły powrót do wspomnień z tamtego brexitowego czerwca i objaśniającej go teorii Goodharta? Mija właśnie dekada od tamtego momentu. 56% Brytyjczyków uważa dziś decyzję o wyjściu z Unii Europejskiej za błąd – ich politycy zawiedli w nadaniu jej sensu. Liberalny autor Yascha Mounk ogłosił właśnie koniec ery Trumpa. Liczni liberałowie wierzą, że era populizmu – zemsty „dołów" – dogorywa. Biorąc pod uwagę nastroje w Europie i amerykańską redefinicję globalnej gospodarki, może być to diagnoza mocno na wyrost. Co jeśli jednak mają rację? Oznaczałoby to pełną marginalizację „ludzi skądś" i wszechwładzę „ludzi skądkolwiek". Zabetonowanie systemu. Uciszenie zmarginalizowanych klas społecznych. Centralizacyjne przyspieszenie. Najprawdziwszą klęskę demokracji.

Jeśli, jak ja, jesteś „człowiekiem skądś" – stąd, z Polski – pogadaj dziś ze swoim sąsiadem. Dołącz do związku, do klubu strzeleckiego, koła gospodyń wiejskich, klubu książki. Idź do kościoła – i zapytaj, w czym możesz pomóc. Posprzątaj okoliczny staw i pójdź sąsiadce po leki. Zorganizuj na Signalu grupę znajomych i przejdź się na jakąś manifestację. To nie są łatwe czasy. W takich czasach dobrze byłoby trzymać się razem.

eprasa.pl 76d3415895

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Ukraina – trudno o sielankę

Jan Wróbel

Zawsze mnie zastanawiało, jak poniższy wierszyk mógł Szymon Szymonowic umieścić w dziele „Sielanki i inne wiersze". Z sielanką (tak jak rozumiemy to pojęcie współcześnie) zupełnie nie miały związku chociażby te słowa:

Już Podole zniszczone, ona Ukraina,

Ona matka żywności, dóbr wszystkich dziedzina,

W popiół poszła; popiołem i miasta budowne.

Popiołem poleciały i twierdze warowne.

Generalnie rzecz dotyczyła zniszczeń jeszcze sporo przed utrwalonym w polskiej pamięci powstaniem Chmielnickiego. A i po wieloletnich bojach wywołanych tym powstaniem zdarzało się nieraz, że „w popiół poszła". Aż do strasznych i ciągle przeszkadzających w zażyłych stosunkach polsko-ukraińskich mordów na Wołyniu podczas drugiej wojny światowej.

W PRL nienawiść do UPA miała z jednej strony być kładką dla przyjaźni polsko-radzieckiej. Z drugiej uzasadnieniem dla rosyjskiej okupacji samej Ukrainy – bo gdyby nie Armia Czerwona, to władze sprawowaliby „banderowcy". Kiedy wybuchła wojna „hybrydowa" w 2014 roku, narracja ta wróciła do gry wskutek starań rosyjskich. W 2022 roku stała się narracją dominującą w prorosyjskim internecie.

Prezydent Ukrainy, decydując się na uhonorowanie „bohaterów UPA", w praktyce wyszydził wieloletnie starania wielu Polaków, w tym polityków, by dziergać więź ukraińsko-rosyjską pomimo historii. Mówi się czasem elegancko, że „trudnej". Lepiej powiedzieć: krwawej. I, w każdym razie w odniesieniu do lat ostatniej wojny, niesymetrycznej. Ktoś znacznie częściej był sprawcą niż ofiarą i sam zaczął spiralę zbrodni. I nagle Wołodymyr Zełenski pokazał Ukrainie i światu, że w sumie historia UPA taka znowu trudna nie jest. Nasi chłopcy i tyle.

Zełenski, jak wynika m.in. ze świetnej, wydanej ostatnio książki Zbigniewa Parafianowicza „Kłopot z Zełenskim" polską wrażliwość na sprawy historyczne, a prawdę mówiąc na jakiekolwiek inne też, ma całkowicie w nosie. W ogóle tego nie czuje. Czuje natomiast, że w grę na wschodzie Europy wchodzą Niemcy. Ich akurat sprawa banderowskiej partyzantki mało wzrusza (jak w ogóle historyczne rozliczenia inne niż własne, niemieckie). A skoro tak, to można honorować bohaterów, których tylko Polacy uznają za siepaczy.

Jakaś faza w relacjach polsko-ukraińskich dobiegła końca. Z winy i inicjatywy prezydenta Zełenskiego. Naszą odpowiedzią nie powinno być walenie w bębny emocji narodowych, lecz polityka wykalkulowana. Czego chcemy od Niemiec? Czego od Ukrainy? A przede wszystkim od siebie? Z kim i dokąd pójdziemy przez najbliższych 10 lat? Dlaczego? Strzeżmy się tych, którzy mają gęby pełne frazesów o sprawie polskiej. Wspierajmy tych, którzy na te proste pytania potrafią udzielić odpowiedzi.

CZEGO CHCEMY OD NIEMIEC? CZEGO OD UKRAINY? A PRZEDE WSZYSTKIM OD SIEBIE?

eprasa.pl 76d3415895

Piotr Skwieciński

Radosna likwidacja państwa

Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zapragnął uchylenia immunitetu europosła Patryka Jakiego, niegdyś wiceministra tegoż resortu. Jaki to żaden mój brat ani swat i rozumiem też, że nadrzędnym celem członków obecnego rządu jest zobaczenie swoich poprzedników w kajdankach. Trochę to ryzykowne, ale przecież Żurek sam jasno powiedział, że wie, iż jak się drużynie, do której należy, nie uda, to sama pójdzie siedzieć. W sumie więc może nie byłoby czym się tak bardzo emocjonować, gdyby...

Gdyby „GW" nie zaznajomiła nas ze szczegółami sprawy, czyli z uzasadnieniem przygotowywanego wniosku. Czyli gdybyśmy nie dowiedzieli się, za co konkretnie Żurek chce Jakiego ścigać. Jeśli chodzi o mnie, to kiedy się dowiedziałem, wyraz zblazowanej obojętności spełzł mi, niestety, z twarzy.

Otóż Żurek chce zapakować Jakiego do kryminału za to, że mianowicie podobno stworzył (raczej: odtworzył, bo w przeszłości już takowe istniało) w Służbie Więziennej nowe stanowisko, żeby mianować na nie konkretnego funkcjonariusza. A tak w ogóle to za to, że w ogóle tego funkcjonariusza mianował.

Powtórzmy, chodzi o to, żeby dowalić przeciwnikowi politycznemu, po to przecież Żurek pełni swój urząd, nikt nie robił tajemnicy z tego, iż właśnie po to Kierownik go powołał. To jest oczywiście niesympatyczne i w wypadku obecnego rządu wielokrotnie częstsze niż za któregokolwiek z rządów poprzednich, ale... który z nich był pod tym względem bez grzechu? Żaden, ten z lat 2015–2023 bez wątpienia też.

Ale „szyta" na polecenie Żurka sprawa przeciw Jakiemu nie jest taka jak wszystkie inne. Ona przenosi nas do innego wymiaru. I sprawia, że nagle stawką staje się nie czyjś osobisty dobrostan, nie dotknięcie kogoś niesprawiedliwością, nawet krzyczącą, tylko po prostu państwo polskie.

Bo, idąc za logiką według której, zdaniem żurkowców, powinien być skonstruowany akt oskarżenia, pełniący funkcję rządową polityk (każdy polityk, dowolnej orientacji, dowolnego przyszłego rządu) mógłby być represjonowany karnie za podjęcie każdej decyzji personalnej. Której trafność – i przyczyny – mogą przecież zawsze być oceniane różnie. Podobnie jak sens tworzenia, likwidacji czy odtworzenia jakiegokolwiek stanowiska.

Każdy, kto bodaj otarł się o machinę rządową, a nawet nie tylko rządową, ale o świat instytucji, kiedy zada sobie trud, by choć przez pół minuty pomyśleć nad logiką zarzutów formułowanych wobec Jakiego, dojdzie do wniosku, że raz uwieńczona powodzeniem, musi ona doprowadzić do uczynienia rządzenia „tym krajem" (by użyć modnej niegdyś frazy) czymś realnie niemożliwym. Bo oznaczałoby to, że rządzący (powtórzmy: dowolnej orientacji politycznej) przestają mieć realnie możliwość kształtowania podległych sobie instytucji i podległego sobie aparatu. A to jest już całkowity paraliż państwa, przewrócenie go w totalną atrapę.

Wydawałoby się, że Żurek chce w dziedzinie anihilowania sterowności państwa iść w zawody z Sądem Najwyższym Izraela, który parę lat temu uznał się za władnego do unieważniania nominacji ministrów dokonywanych przez premiera jako „nierozsądnych". Powtórzmy – nie „niezgodnych z prawem", tylko „nierozsądnych". Znaczy – zdaniem sędziów merytorycznie niesłusznych. Takie coś się nazywa sędziowskim aktywizmem; Sąd Najwyższy Izraela uprawia tę dyscyplinę w wersji, jak dotąd myślałem, maksymalnie hardcorowej. Żurek jest jednak jeszcze bardziej ekstremalny. No bo przecież działa przecież nie jako sędzia, tylko jako minister. Znaczy – polityk. Znaczy – powinien być po stronie państwa jako instytucji.

Ale najwyraźniej nie jest.

Ktoś pewnie spytałby, co na to Kierownik Żurka, którego minister Radosław Sikorski nazwał ostatnio najwybitniejszym politykiem na przestrzeni całych dziejów Polski od Mieszka. Ale ja nie lubię udawać tzw. pierwszej naiwnej, więc nie spytam.

eprasa.pl 76d3415895

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

PŁACA MINIMALNA 2027. Związki zawodowe przedstawiły swoją propozycję

Fot. pixabay.com

Trzy reprezentatywne organizacje związkowe zasiadające w Radzie Dialogu Społecznego przedłożyły wspólną propozycję minimalnego wynagrodzenia za pracę w 2027 roku.

NSZZ „Solidarność”, Forum Związków Zawodowych oraz Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych o swojej propozycji poinformowały w piśmie przesłanym do ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego.

Związki zawodowe chciałyby, aby wzrost minimalnego wynagrodzenia za pracę wyniósł w 2027 roku nie mniej niż 8,2 proc., czyli 394 zł. Po takiej podwyżce najniższa krajowa wzrosłaby do wysokości 5200 zł brutto.

Ponadto strona społeczna uważa, że wynagrodzenia w państwowej sferze budżetowej powinny wzrosnąć o co najmniej 15 proc., a w gospodarce narodowej nie mniej niż 11 proc.

Związkowcy wskazali również, że wskaźnik waloryzacji emerytur i rent powinien wynosić nie mniej niż średnioroczny wskaźnik cen towarów i usług w 2026 roku, zwiększony o co najmniej 50 procent realnego wzrostu przeciętnego wynagrodzenia za pracę w roku 2026.

„Strona pracowników zastrzega sobie prawo korekty zaproponowanych wzrostów wynagrodzeń oraz emerytur i rent m.in. w przypadku zmiany przez stronę rządową prognozowanych wskaźników makroekonomicznych stanowiących podstawę do prac nad projektem ustawy budżetowej na 2027 rok lub innych zdarzeń wpływających negatywnie na dochody pracowników” – zaznaczyły w piśmie reprezentatywne organizacje związkowe.

PUZP WYPOWIEDZIANY

Sekretariat Metalowców NSZZ „Solidarność” poinformował, że 15 maja przedstawiciele Związku Pracodawców Przedsiębiorstw Przemysłu Obronnego i Lotniczego wypowiedzieli jednostronnie i bez podania przyczyny funkcjonujący od niemal 30 lat Ponadzakładowy Układ Zbiorowy Pracy. Dokument przestanie obowiązywać za sześć miesięcy, a wraz z nim zawarte tam zapisy, które mówią między innymi, że: podstawową formą umowy o pracę stosowaną dla pracowników objętych układem jest umowa na czas nieokreślony oraz że pracodawca jest zobowiązany do uzgodnienia ze związkami zawodowymi rozporządzeń dotyczących spraw pracowniczych, w tym zasad podziału nagród z części zysku przeznaczonego dla załogi.

Oburzenie decyzją strony pracodawców wyraziła Solidarność działająca w Airbus Poland. – To jawna próba ucieczki pracodawców od dotychczasowych zobowiązań płacowo-socjalnych i zresetowania reguł gry. Nie zgadzamy się na to! – podkreślili.

DZIEŃ DZIECKA Z SOLIDARNOŚCIĄ

Na stawie Grajdołek członkowie Solidarności z ZG „Sobieski” zorganizowali 30 maja Dzień Dziecka dla blisko 100 milusińskich. Najmłodsi rywalizowali

eprasa.pl 76d3415895

Fot. M. Żegliński

„Od wielu lat nasza służba jest odsuwana na dalszy plan i dyskryminowana. Nie traktuje się nas poważnie, tak jak kolegów i koleżanki z MSWiA”.

Andrzej Kołodziejski,
przewodniczący „S” w Służbie Więziennej, Tysol.pl, 1 czerwca br.

w zawodach wędkarskich, bawili się na dmuchanym zamku i uzupełniali utracone kalorie wojskową grochówką oraz grillowanymi kiełbaskami. Organizatorzy zadbali o nagrody i paczki dla wszystkich dzieci, tak aby żadne z nich nie wyszło z imprezy z pustymi rękami.

Nagrody wręczyli najmłodszym Dariusz Piechowicz, przewodniczący „S” w Zakładzie Górniczym Sobieski, oraz Piotr Lichota, dyrektor ds. pracy z tejże kopalni.

PIELGRZYMKA DO KRZESZOWIC I PIEKAR ŚLĄSKICH

Członkowie NSZZ „Solidarność” z Regionu Jeleniogórskiego oraz Zagłębia Miedziowego wraz ze swoimi rodzinami pielgrzymowali do sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie, gdzie znajduje się cudowny obraz Matki Bożej Łaskawej ukoronowany przez papieża św. Jana Pawła II.

Centralnym punktem spotkania była Msza Święta, podczas której kazanie wygłosił kustosz sanktuarium w Krzeszowie ks. Łukasz Langenfeld.

W pielgrzymce uczestniczyli przewodniczący obu regionów Solidarności: Bartosz Budziak z zastępcą Anetą Mazur oraz Franciszek Kopeć z zastępcami Pawłem Wysockim i Bogusławem Wojtasem. Do krzeszowskiego sanktuarium przybyli także pracownicy Energetyki z Lubina, którzy świętowali 15. rocznicę poświęcenia swojego związkowego sztandaru. Delegację energetyków reprezentował Jarosław Ratka, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „S”.

Po Eucharystii uczestnicy pielgrzymki wysłuchali koncertu organowego, podziwiali okolicę z wieży kościoła oraz spożyli wspólny posiłek.

W ostatnią niedzielę maja odbyła się także Pielgrzymka Mężczyzn i Młodzieńców do sanktuarium Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej. Do Piekar Śląskich nazywanych duchową stolicą Śląska pielgrzymi przybywają od 1676 roku. W tym roku udał się tam między innymi przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „S” Piotr Duda.

Homilię do zebranych wygłosił na piekarskim wzgórzu bp Krzysztof Nykiel, regens Penitencjarii Apostolskiej z Watykanu. – Dziś świat mówi: liczy się kariera, liczy się sukces, siła, władza, układy, pieniądze i dominacja. Ewangelia mówi: bracie, buduj jedność, nie podziały, wnoś pokój, nie agresję. Podnoś i umacniaj innych, zamiast ich niszczyć czy zwalczać. To jest prawdziwa męskość – zaznaczył.

Do wiernych w trakcie pielgrzymki przemawiał także metropolita katowicki abp Andrzej Przybylski, który podkreślił, że „Kościół nie chce nikogo zastępować ani wyręczać, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o władzę, zarządzanie sprawami doczesnymi, ale chce być głosem sumienia, obrońcą, aby wszelkie przemiany i transformacje opierały się na absolutnym pierwszeństwie i dobru każdego człowieka”.

M.K.

Kalendarium
Solidarności

13.06.1982 – we Wrocławiu ukazuje się pierwszy numer pisma „Solidarność Walcząca”, tytuł wkrótce stanie się nazwą nowej organizacji;

14.06.1985 – Wojewódzki Sąd w Gdańsku skazał działaczy Solidarności: Władysława Frasyniuka na 3,5 roku, Adama Michnika na 3 lata, a Bogdana Lisa na 2,5 roku pozbawienia wolności.

eprasa.pl 76d3415895

Więziennicy wracają do Warszawy

Marcin Krzeszowiec

eprasa.pl 76d3415895

Solidarność Służby Więziennej zaplanowała **10 czerwca br.** manifestację przed Ministerstwem Finansów. Związkowcy nie chcą dopuścić do obniżenia świadczenia mieszkaniowego dla – jak szacują – około 16 tysięcy funkcjonariuszy swojej formacji. „Najdotkliwiej zmianę odczują funkcjonariusze z Kielc, w których obniżka ma być o ponad 500 zł miesięcznie" – alarmują.

Fot. M. Żegliński

Dodatek mieszkaniowy dla Służby Więziennej to miesięczny zastrzyk gotówki w kwocie od 900 do 1800 zł zależnie od miejsca pełnienia służby – najwyższą stawkę otrzymują funkcjonariusze wykonujący swoje obowiązki w Warszawie, natomiast niższe stawki przyznawane są osobom służącym w mniejszych miejscowościach.

Świadczenie to jest powszechne, to znaczy przyznawane bez względu na staż – nie ma znaczenia, od ilu lat dana osoba pracuje w zawodzie. Co więcej, w przypadku małżeństwa dwojga funkcjonariuszy, każdy z nich otrzymuje swoje własne świadczenie.

Droga do przyznania dodatku mieszkaniowego dla funkcjonariuszy SW była wyboista i zaczęła się już w listopadzie 2024 roku, gdy ponad sześciuset funkcjonariuszy i pracowników służb publicznych pikietowało wspólnie przed Radą Dialogu Społecznego w Warszawie.

Jednym z podnoszonych wtedy postulatów było zrównanie świadczeń socjalnych funkcjonariuszy służb cywilnych ze świadczeniami przyznawanymi żołnierzom zawodowym.

Po upływie kilku miesięcy związkowcy zdecydowali się na kolejny krok. Dwa związki zawodowe – NSZZ „Solidarność" Służby Więziennej oraz NSZZ Funkcjonariuszy i Pracowników Więziennictwa – powołały Międzyzwiązkowy Komitet Protestacyjny i zapowiedziały wspólną manifestację w stolicy 20 marca.

Ostatecznie nie doszła ona do skutku, ponieważ na tydzień przed demonstracją związki zawodowe podpisały porozumienie ws. dodatków mieszkaniowych z ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem oraz dyrektorem generalnym SW Andrzejem Pecką.

W ten sposób minęły kolejne miesiące, a przedstawiciele więzienników powoli tracili cierpliwość. W końcu 18 sierpnia Międzyzwiązkowy Komitet Protestacyjny postanowił odwiesić akcję protestacyjną, polecił oflagować zakłady i rozpoczął przygotowania do demonstracji w stolicy.

Ogólnopolska Manifestacja Więzienników przeszła ulicami Warszawy 9 września, a frekwencja podczas niej dała związkowcom powody do satysfakcji – według

WEDŁUG SOLIDARNOŚCI PLANOWANE ZMIANY SPOWODUJĄ OBNIŻENIE DODATKU MIESZKANIOWEGO DLA FUNKCJONARIUSZY SW ŚREDNIO O OK. 300 ZŁ MIESIĘCZNIE.

eprasa.pl 76d3415895

ich wyliczeń do stolicy przyjechały ponad 3 tysiące osób. Na miejscu pojawił się także przewodniczący Solidarności Piotr Duda i jego zastępca Bartłomiej Mickiewicz. Więziennicy demonstrowali pod Kancelarią Premiera Rady Ministrów i Ministerstwem Sprawiedliwości, a na koniec udali się pod Sejm RP.

– W czerwcu tego roku został opublikowany raport NIK na temat Służby Więziennej. Dowiadujemy się z niego, że służba jest niedoetatyzowana od wielu lat. Brakuje co najmniej 2500 funkcjonariuszy. Z tego mamy prawie 2 mln nadgodzin. Jeżeli świadczenie mieszkaniowe nie zostanie zrealizowane, to kto przyjdzie do tej służby? Nie ma jak odebrać nadgodzin, bo nie ma ludzi. Porozumienie podpisali, funkcjonariuszy oszukali – mówił na manifestacji Andrzej Kołodziejski, przewodniczący Solidarności w Służbie Więziennej.

Ostatecznie mieszkaniówka dla funkcjonariuszy Służby Więziennej została wprowadzona pod koniec 2025 roku, a więziennicy otrzymali upragniony dodatek z wyrównaniem od lipca.

Ta walka nie została jednak definitywnie zakończona. Niedawno okazało się, że funkcjonariuszy SW czeka dogrywka.

W połowie maja na oficjalnej stronie Służby Więziennej, pojawił się bowiem komunikat, w którym napisano, że prowadzone są obecnie intensywne prace nad nowelizacją rozporządzenia w sprawie świadczenia mieszkaniowego dla funkcjonariuszy SW.

„Celem proponowanych zmian jest zbliżenie wysokości świadczeń mieszkaniowych funkcjonariuszy Służby Więziennej i Policji pełniących służbę w tych samych miejscowościach" - poinformowano. Zaznaczono również, że projekt nowelizacji rozporządzenia trafi do konsultacji społecznych i zostanie uzgodniony ze związkami zawodowymi, prawdopodobnie w najbliższych tygodniach.

W ocenie Solidarności działającej w Służbie Więziennej nie ma jednak „jakichkolwiek racjonalnych i sprawiedliwych podstaw" do obniżenia wysokości świadczenia mieszkaniowego dla ich formacji. Według wyliczeń związkowców planowane zmiany dotkną mniej więcej 16 tysięcy funkcjonariuszy, których świadczenia zostaną zmniejszone średnio o około 300 zł miesięcznie. Jak łatwo policzyć, oznaczałoby to oszczędność dla budżetu państwa na poziomie mniej więcej 60 mln zł rocznie.

„Z uzasadnień prezentowanych przez stronę rządową wynika, że planowane obniżenie świadczenia dla funkcjonariuszy Służby Więziennej ma służyć «zbliżeniu» jego wysokości do rozwiązań obowiązujących w Policji. Taka argumentacja jest jednak wybiórcza, niepełna i krzywdząca, ponieważ pomija inne elementy systemu świadczeń i należności przysługujących funkcjonariuszom Policji" – napisali związkowcy z Solidarności w stanowisku przesłanym do premiera Donalda Tuska, ministrów i szefów klubów parlamentarnych.

Wskazali przy tym, że funkcjonariusze Policji otrzymują wyższe należności lub dodatki związane z dojazdem do miejsca pełnienia służby. Ponadto w przypadku obowiązku zwrotu pomocy finansowej na zakup lokalu mieszkalnego lub domu, policjanci muszą zwrócić jedynie część otrzymanych środków, podczas gdy funkcjonariusze Służby Więziennej są zobowiązania do zwrotu całości uzyskanej pomocy.

„Oznacza to, że próba prostego «wyrównania» jednego świadczenia do poziomu policyjnego, przy jednoczesnym pozostawieniu funkcjonariuszom Służby Więziennej mniej korzystnych zasad w innych obszarach, prowadzi w istocie nie do równości, lecz do pogłębiania nierówności. Nie można budować sprawiedliwego systemu uprawnień mundurowych poprzez wybieranie z innej formacji wyłącznie tych rozwiązań, które są dla budżetu tańsze, a pomijanie tych, które są dla funkcjonariuszy korzystniejsze – podkreśliła Solidarność.

Więziennicy nie godzą się na sytuację, w której ich formacja ma otrzymywać świadczenie mieszkaniowe zbliżone do policyjnego, ale już „bez policyjnych rekompensat i bez policyjnych, korzystniejszych zasad w zakresie zwrotu pomocy mieszkaniowej".

Nie chcą być traktowani jak służba „drugiej kategorii", dlatego 10 czerwca powrócą do Warszawy.

WIĘZIENNICY NIE GODZĄ SIĘ, BY ICH FORMACJA MIAŁA ŚWIADCZENIE MIESZKANIOWE ZBLIŻONE DO POLICYJNEGO, ALE JUŻ „BEZ POLICYJNYCH REKOMPENSAT I BEZ POLICYJNYCH, KORZYSTNIEJSZYCH ZASAD W ZAKRESIE ZWROTU POMOCY MIESZKANIOWEJ".

eprasa.pl 76d3415895

GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje: Pułapka „grzecznych” społeczników

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Jako zastępca przewodniczącego Regionu regularnie odwiedzam zakłady pracy w naszym regionie. Rozmawiam z liderami organizacji związkowych, ludźmi z pierwszej linii frontu. Coraz częściej dostrzegam u nich pewien psychologiczny mechanizm, o którym rzadko mówi się na głos. To lęk przed braniem tego, co im się prawnie należy. Chodzi o godziny związkowe.

Strach przed etykietą

Związkowcy na wydziałach czy w biurach często rezygnują z przysługującego im czasu na pracę na rzecz związku. Wolą robić to „po godzinach”, „na szybko”, w czasie prywatnym. Dlaczego? Bo boją się reakcji otoczenia. W ich głowach pulsuje lęk przed złośliwymi szeptami: „O, związkowiec, znowu nie pracuje, znowu ma wolne”. Boją się krzywych spojrzeń kierowników i poczucia winy, że zostawiają swoich kolegów z zespołu z nadmiarem obowiązków.

To klasyczny syndrom „grzecznego dziecka” przeniesiony na grunt relacji pracowniczych. Chcemy być tak bardzo lojalni wobec zespołu i pracodawcy, że z lęku przed konfliktem i oceną sami nakładamy sobie kaganiec.

Narzędzie, nie nagroda

Godziny związkowe nie są jednak żadną nagrodą, przywilejem dla leniwych czy „urlopem” od pracy. Są narzędziem pracy, takim samym jak komputer dla analityka czy klucz dla mechanika. Mądry pracodawca wie, że uporządkowany dialog wymaga czasu. Czasu na analizę dokumentów, na wyłapanie w nich nieścisłości, na wysłuchanie ludzkich lęków i zapobieganie konfliktom, zanim te rozsadzą firmę od środka.

Jeśli jako działacz nie korzystasz z tych godzin, wysyłasz otoczeniu niebezpieczny sygnał: „Moja misja nie jest ważna. Można ją robić w biegu, na kolanie”. To prosta droga do wypalenia. Nie da się budować profesjonalnego związku zawodowego, ukrywając się w kącie i przepraszając za to, że się istnieje.

Psychologia odwagi

Musimy przepracować ten lęk w swoich głowach. Rezygnując z godzin związkowych, wcale nie pomagasz swoim kolegom z pracy. Wręcz przeciwnie – osłabiasz organizację, która ma ich chronić. Związkowa odwaga to nie tylko głośne reprezentowanie innych, ale też umiejętność postawienia granicy i zadbania o własne zaplecze. Kiedy rezygnujesz ze swojego czasu, dajesz sygnał, że Twoja rola jest drugorzędna. Musimy przestać przepraszać za to, że robimy to, do czego zostaliśmy powołani. Związek potrzebuje liderów, którzy szanują swój czas i funkcję. Dopiero gdy sami zaczniemy traktować godziny związkowe jako przestrzeń do rozwoju – do rozmów z młodymi, do szkoleń, do budowania strategii – pracodawca i załoga też zaczną je szanować.

Nie bójmy się być słyszani. Prawdziwa Solidarność zaczyna się od szacunku do własnych praw. Jeśli my ich nie uszanujemy, nikt inny tego za nas nie zrobi.

Na koniec warto przypomnieć mądre słowa Marshalla Rosenberga, twórcy „Porozumienia bez przemocy”:

„Kiedy rezygnujemy z własnych potrzeb, by zadowolić innych, wcale nie budujemy pokoju – budujemy ukrytą urazę”.

Zamiast budować urazę i zmęczenie, zacznijmy mądrze korzystać z narzędzi, które mamy. Dla dobra nas wszystkich.

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 76d3415895

Fundament bezpieczeństwa gospodarczego

„Branża spożywcza to **fundament** bezpieczeństwa gospodarczego kraju" – podkreślił przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda w liście skierowanym do uczestników uroczystego Kongresu Sekretariatu Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „Solidarność".

Agnieszka Żurek

Kongres odbył się w Jastrzębiej Górze w dniach 28–30 maja. Dyskutowano o najważniejszych sprawach, z jakimi zmaga się obecnie branża spożywcza. W wydarzeniu uczestniczyli licznie zgromadzeni związkowcy z kraju i z zagranicy.

„Nie wolno nam nienawidzić"

Specjalne przesłanie do związkowców skierował kapelan Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „Solidarność", o. Marcin Szafors OMI. Przypomniał wciąż aktualne życiowe motto patrona Solidarności, bł. ks. Jerzego Popiełuszki: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj". – Ludzie pracy muszą bronić swojej godności i walczyć o swoje prawa, pamiętajmy jednak o wierności przesłaniu naszego błogosławionego patrona. Mamy obowiązek nazywać zło po imieniu i walczyć z nim, ale nie wolno nam nikogo nienawidzić – podkreślił.

W wydarzeniu wzięli udział związkowcy z kraju i z zagranicy. Honorowymi gośćmi Kongresu byli: sekretarz generalny EFFAT (European Federation of Food, Agriculture, and Tourism Trade Unions) Enrico Somagllia, zastępca sekretarza generalnego IUF (International Union of Food, Agricultural, Hotel, Restaurant, Catering, Tobacco and Allied Workers' Associations) Sarah Mayer, przedstawiciel FAI-CISL (Federazione Agricola Alimentare Ambientale Industriale) Alberto Kulberg-Taub. – Solidarność to nie tylko związek zawodowy, ale przede wszystkim silna tożsamość, organizacja o historycznych dokonaniach, która jest dla świata przykładem, jak powinna wyglądać pokojowa walka o prawa pracownicze – wskazał sekretarz generalny EFFAT Enrico Somagllia.

Nierówności w płacach

W wypowiedziach wielu prelegentów, zarówno z Polski, jak i z zagranicy, wybrzmiały problemy związane z koncentracją wielkiego kapitału w rękach monopolistów, a także nierówności w wynagradzaniu za tę samą pracę wykonywaną przez zatrudnionych w różnych krajach. – Mówcy podkreślili konieczność ponadnarodowego zjednoczenia się ludzi pracy w walce

Grzegorz Zawadzki z Fundacji Promocji Solidarności i Zbigniew Sikorski, przewodniczący Sekretariatu Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „Solidarność"

Fot. autorka

eprasa.pl 76d3415895

Fot. G. Zawadzki

o ich prawa oraz o wspólne wartości – przypomniała hasło przewodnie przyświecające związkowcom zastępca sekretarza generalnego IUF (International Union of Food, Agricultural, Hotel, Restaurant, Catering, Tobacco and Allied Workers' Associations) Sarah Mayer.

Prelegenci podzielili się z uczestnikami Kongresu swoimi doświadczeniami z wieloletniej działalności związkowej. Wskazali, że obecne czasy niosą w sektorze spożywczym nowe wyzwania związane ze sztuczną inteligencją, reorganizacjami łańcuchów dostaw żywności i rosnącymi cenami energii. – Historia waszego Związku jest lekcją dla całej Europy. Jest niezwykle ważna dla całego ruchu związkowego – zaznaczył przedstawiciel FAI-CISL (Federazione Agricola Alimentare Ambientale Industriale) Alberto Kulberg-Taub.

Tylko razem!

List do uczestników Kongresu skierował przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda. Odczytał go zastępca szefa „S" Grzegorz Adamowicz. – Branża spożywcza odgrywa fundamentalną rolę dla bezpieczeństwa gospodarczego i społecznego naszego kraju. To dzięki codziennej pracy tysięcy pracowników zakładów spożywczych, przetwórni i przedsiębiorstw związanych z produkcją żywności Polacy mają zapewnione podstawowe bezpieczeństwo i stabilność. Państwa praca ma ogromne znaczenie dla funkcjonowania całej gospodarki – wskazał.

Piotr Duda podkreślił, że sektor spożywczy mierzy się obecnie z wieloma zagrożeniami – rosnącymi kosztami produkcji, nieuczciwą konkurencją, a przede wszystkim skutkami europejskiej polityki klimatycznej, które coraz częściej uderzają w polskich pracowników i przedsiębiorstwa. – Regulacje tak zwanego Zielonego Ładu, które nakładają kolejne obciążenia na producentów żywności, prowadzą do osłabienia polskiego przemysłu spożywczego, niepewności pracowników oraz wzrostu cen dla konsumentów. Nie możemy się na to godzić – zaznaczył, dodając, że stanowczy sprzeciw w tej sprawie wybrzmiał podczas demonstracji zorganizowanej przez NSZZ „Solidarność" 20 maja w Warszawie.

– Nieustannie wspieramy również Pana Prezydenta Karola Nawrockiego w działaniach mających na celu przeprowadzenie referendum dotyczącego polityki klimatycznej UE. Tak istotne decyzje nie mogą zapadać ponad głowami obywateli. Głos społeczeństwa musi zostać usłyszany, a Polacy powinni mieć prawo wyrazić swoje stanowisko w tej sprawie – dodał.

Szef Solidarności stwierdził, że skuteczne działanie, dziś bardziej niż kiedykolwiek, wymaga jedności. – Tylko razem jesteśmy w stanie skutecznie przeciwstawiać się rozwiązaniom, które osłabiają polską gospodarkę i pogarszają sytuację ludzi pracy – podkreślił Piotr Duda, dziękując związkowcom z branży spożywczej za wieloletnią, konsekwentną i nieustępliwą walkę o zapewnienie Polakom bezpieczeństwa żywnościowego oraz o przestrzeganie praw ludzi pracy.

Redakcja „Tygodnika Solidarność" i portalu Tysol.pl otrzymały od szefa Sekretariatu Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa NSZZ „Solidarność" Zbigniewa Sikorskiego podziękowanie za „zaangażowanie Fundacji Promocji Solidarności i pasję dziennikarską redakcji, dzięki którym problemy i sukcesy pracowników branży spożywczej i rolniczej docierają do szerokiego grona odbiorców, budując solidarność i społeczną świadomość". Podziękowanie zostało przekazane na ręce prezesa Zarządu Fundacji Promocji Solidarności Michała Ossowskiego.

Podziękowanie za wieloletnią współpracę z Krajowym Sekretariatem Przemysłu Spożywczego i Rolnictwa otrzymał także wieloletni pracownik „Tygodnika Solidarność" i członek NSZZ „Solidarność", asystent zarządu, specjalista ds. wydawniczych i kolportażu Grzegorz Zawadzki. „Solidarność to ofiarność, czas i serce poświęcone drugiemu. I za tę wieloletnią, jakże efektywną współpracę, dziękuję z całego serca" – napisano w podziękowaniu.

> Obecne czasy niosą w sektorze spożywczym **nowe wyzwania** związane ze sztuczną inteligencją, reorganizacjami łańcuchów dostaw żywności i rosnącymi cenami energii.

eprasa.pl 76d3415895

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Miasteczko namiotowe przed Ministerstwem Sprawiedliwości powstało z inicjatywy NSZZ „S" 7 maja 2019 roku. Dziś wracamy do momentu, w którym w dramatyczny sposób o swojej sytuacji alarmowali pracownicy sądów i prokuratury.

Tomek: – Ten protest trwał aż 60 dni. W tym czasie w miasteczku przebywali nie tylko pracownicy, ale także ich dzieci i całe rodziny. Przybyli do nich także m.in. przewodniczący Piotr Duda oraz minister Michał Wójcik. W trakcie protestu jego uczestnicy byli także obecni na demonstracji pracowników Muzeum Narodowego.

– Wielokrotnie był tam również Pan, często także z darami dla protestujących.

– Na zakończenie protestu przyniosłem czekoladę. Ale gdy powiedziałem, że tego dnia planuję pojechać jeszcze do Domu Samotnej Matki, protestujący oddali mi smakołyki i prosili, żebym przekazał je dzieciom.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 76d3415895

NIE PRZYJĄŁEM MANDATU.
Czy teraz sprawa automatycznie trafi do sądu?

Policjant wystawił mi mandat za rzekome wykroczenie drogowe, byłem jednak przekonany, że nie popełniłem żadnego naruszenia, więc **odmówiłem** jego przyjęcia. Funkcjonariusz powiedział, że „w takim razie zobaczymy się w sądzie". Co realnie dzieje się dalej po odmowie przyjęcia mandatu?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W praktyce bardzo wiele osób traktuje odmowę przyjęcia mandatu jako sposób na „uniknięcie kary" albo odwrotnie, obawia się, że sama odmowa automatycznie pogarsza ich sytuację. Tymczasem odmowa przyjęcia mandatu nie oznacza ani zakończenia sprawy, ani automatycznego uznania winy. Oznacza przede wszystkim, że sprawa przechodzi z trybu mandatowego do zwykłego postępowania w sprawie o wykroczenie. Mandat karny jest uproszczoną formą zakończenia sprawy. Jego przyjęcie oznacza zgodę na ukaranie bez udziału sądu. Jeżeli jednak osoba obwiniana nie zgadza się z oceną funkcjonariusza, ma prawo odmówić przyjęcia mandatu. W takiej sytuacji policjant lub inny uprawniony organ nie może już samodzielnie nałożyć kary. To jednak nie oznacza, że sprawa „znika". W praktyce funkcjonariusz sporządza dokumentację dotyczącą zdarzenia, zabezpiecza materiał dowodowy, a następnie kierowany jest wniosek o ukaranie do sądu. Dopiero sąd ocenia, czy rzeczywiście doszło do wykroczenia i czy istnieją podstawy do przypisania odpowiedzialności konkretnej osobie. Dobrym przykładem jest sytuacja kierowcy, który został zatrzymany za rzekome przejechanie skrzyżowania na czerwonym świetle. Kierowca twierdził jednak, że wjechał na skrzyżowanie jeszcze przy sygnale żółtym, i odmówił przyjęcia mandatu. W takiej sytuacji policja może zabezpieczyć nagranie monitoringu, notatkę służbową funkcjonariusza czy zeznania świadków i przekazać sprawę do sądu rejonowego. W praktyce wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że postępowanie sądowe po odmowie mandatu nie ogranicza się wyłącznie do „potwierdzenia" stanowiska policji. Sąd ma obowiązek samodzielnie ocenić cały materiał dowodowy, a obwiniony ma prawo składać wyjaśnienia, przedstawiać własne dowody i kwestionować ustalenia organu. Jednocześnie warto pamiętać, że odmowa przyjęcia mandatu nie jest całkowicie neutralna procesowo. Jeżeli sąd uzna osobę obwinioną za winną, może oprócz samej grzywny obciążyć ją również kosztami postępowania. W praktyce oznacza to, że ostateczna kwota do zapłaty może być wyższa, niż pierwotnie proponowany mandat. Nie oznacza to jednak, że odmowa zawsze jest błędem. W wielu przypadkach jest to jedyny sposób na zakwestionowanie nieprawidłowej oceny sytuacji przez funkcjonariusza, zwłaszcza gdy sprawa opiera się na niejednoznacznych okolicznościach albo istnieją wątpliwości co do przebiegu zdarzenia.

Podsumowując, odmowa przyjęcia mandatu nie kończy sprawy, lecz przenosi ją do sądu, gdzie dopiero zapada formalne rozstrzygnięcie o odpowiedzialności. W praktyce oznacza to konieczność przeprowadzenia pełnego postępowania dowodowego, ale jednocześnie daje obywatelowi realną możliwość obrony swoich racji przed niezależnym organem.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 76d3415895

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Ferdynand Fodder (Ludzie..., s. 58), we własnej opinii „człowiek czuły i umiarkowany. Wszystkie żarty to żarty, cała reszta to eksperyment społeczny". Mikroblogger aktywny głównie na platformie X (jako@OldGamesAmirite). Dla nas pisze od 2026 roku.

Tomasz Rowiński (Tylko..., s. 6), historyk idei i redaktor naczelny „Christianitas". Ostatnio opublikował „Anachroniczną nowoczesność. Eseje o cywilizacji przemocy". Dla „Tygodnika Solidarność" pisze od 2026 roku.

Łukasz Sakowski (Zachód..., s. 54), założyciel portalu naukowego To Tylko Teoria, twórca popularnego plebiscytu internetowego Biologiczna Bzdura Roku, w której wyróżniane są najbardziej antynaukowe stwierdzenia w przestrzeni publicznej (nagroda przyznawana jest od 2016 roku).

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 48), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Hanna Szymerska (Słoweński..., s. 28), publicystka zajmująca się państwami Europy Centralnej, zwłaszcza Węgrami. Mówi po węgiersku i podróżuje często do tego kraju.

Agnieszka Żurek (Fundament..., s. 70), z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 76d3415895

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości, a Wy?

asa.pl 76d3415895

HISTORIA TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Wydanie Specjalne nr 1/2026:

Solidarność i wolność słowa. 45 lat „Tygodnika Solidarność”

Ponad 100 stron poświęconych wolności słowa i niezależnej prasy związanej z Solidarnością

Sylwetki redaktorów naczelnych

Jak SB rozpracowywała redakcję?

Wydanie Specjalne do kupienia na: **solidarnosc.sklep.pl** oraz w wybranych salonach prasowych

eprasa.pl 76d3415895